

**JANE BELL**

**KONIEC  
MARZEŃ**

## ROZDZIAŁ I

— Oczywiście, pojedziesz do Parku, nie ma o czym mówić, moja droga.

Vincente Cruz zdjął szczerpłą ręką okulary i usiadł. Uśmiechnął się do Diany, zupełnie niewzruszony nowinami, jakie mu przyniosła. Kiedy dziennikarka przybyła tu, kipiąc oburzeniem z powodu wiadomości otrzymanej tego ranka w wydawnictwie, jedyną reakcją Vincente była prośba, żeby zechciała usiąść i uspokoić się.

— Jak mogę się uspokoić — zaprotestowała — skoro powiedziano mi właśnie, że ten Pires nie pozwala wpuszczać nas na teren rezerwatu.

Vincente powtórzył z uśmiechem, że przede wszystkim Diana musi usiąść, a potem Rosę, jego gospodyni, przynieść jej drinka, zanim zaczną rozmawiać o tej sprawie. Wiedząc, że wszelkie protesty będą bezużyteczne, usadowiła się na bambusowym krześle, po raz pierwszy nie zwracając najmniejszej uwagi na wspaniały widok z okien werandy — na rozciągające się pod wilgotnymi lasami szczyty gór Roraimy. Vincente lubił wychylić przed obiadem kieliszek wódki, więc Diana towarzyszyła mu niechętnie, tłumiąc niecierpliwość.

— Pogadam z Ramonem — zachichotał Cruz — nie martw się o to. Prasa przysporzyła mu ostatnio dużo kłopotów i tylko dlatego zamknął Park przed gośćmi.

Diana udawała, że podziwia rozległy widok z werandy, w rzeczywistości jednak powstrzymywała się od odpowiedzi, jaka cisnęła jej się na usta. Dużo kłopotów! Nie miała jeszcze „przyjemności” poznania osobiście Ramona Piresa, nowego zarządcy Parku Primeiro, ale z tego, co słyszała już o nim, wynikało, że zasłużył na cięgi, które otrzymywał od prasy. Jakim prawem odmówił ich prośbie! Czemu nie wolno jej spędzić tam kilku dni wraz z fotografem, odtwarzając wędrowki Vincente z dawnych lat, kiedy ten, jako młody człowiek, poznawał Mato Grosso? Pires zachowywał się tak, jakby był właścicielem rezerwatu. Szczególnie drażniący był fakt, że to właśnie on, jeden jedyny ze wszystkich spotkanych ludzi, przeszkadzał im dotrzeć do celu podróży, gdy dotychczas cała wyprawa do Brazylii odbywała się tak gładko! Zaczęła właśnie pisać biografię Vincente, który znaczną część życia spędził wśród Indian brazylijskich, dlatego też ogromnie jej zależało na zwiedzeniu Parku Primeiro, rezerwatu w Mato Grosso, otoczonego światową sławą, i na krótkim choćby pobycie wśród zamieszkałych tam tubylców. W przeciwnym razie — jeśli nie uda się przełamać niezrozumiałego uporu Ramona Piresa — równie dobrze mogła nie ruszać się z Anglii, o czym myślała z gniewem i żalem. Spędziła przecież już wiele interesujących i owocnych godzin, rozmawiając z Vincente tutaj, na północy Brazylii, ale on sam powiedział jej tydzień temu, że najważniejszym z jego osiągnięć jest Park. Stworzył go sam i to Park właśnie stał się z czasem przykładem wzorowego rezerwatu dla całego świata. Musiała zatem za wszelką cenę dotrzeć tam i zobaczyć wszystko na własne oczy, jeśli jej książka miała być w ogóle coś warta.

Doszła do wniosku, że nie należy zwierzać się Vincente z niechęci i urazy do Piresa. Wiedziała, że według niego, Ramon nie mógł postępować niewłaściwie.

Ramon był kimś ważniejszym niż następcą Cruza: był jego protegowanym i powszechnie wiadomo było, że stary człowiek kochał go niczym własnego syna. Plotka głosiła, że Ramon wykorzystuje ten fakt i manipuluje byłym szefem — Diana nie wiedziała jednak, ile było w tym prawdy.

Gdy dziewczyna usiłowała stłumić wrzącą w niej złość, Vincente Cruz, siedząc wygodnie, przyglądał się swemu gościowi w milczeniu. Nie przekroczył jeszcze wieku, kiedy mężczyzna nie patrzy już na piękne kobiety. Zachwycaly go jej miedzianobrazowe loki, duże, zielone oczy i powabne kształty.

Polubił dziewczynę przede wszystkim za jej młodzieńczy entuzjazm, dobre serce i żywy temperament. Była szczerą i odważną, a on to właśnie cenił w kobiecie: nie cierpiał intrygantek. Diana, choć tak odmienna, przypominała mu charakterem jego młodą, portugalską żonę, zmarłą tyle lat temu...

Westchnął.

— O co chodzi? — Diana była bardzo przywiązana do Vincente i zwróciła się do niego z troską w głosie, zapominając na chwilę o własnych problemach.

— Nic, nic. — Uśmiechnął się, a jego wyblakłe, szare oczy zabłysły. — To tylko stare wspomnienia... Ale ty musisz odwiedzić Park. Zaaranżuję to dla ciebie, nie obawiaj się. Ramon może mieć akurat teraz... jak wy to młodzi, mówicie?... „lekkiego świra"... na punkcie prasy, ale mnie będzie słuchał.

Uśmiechnął się ironicznie i w ułamku sekundy Diana zobaczyła koło siebie nie starszego pana (miał teraz siedem-

dziesiąt pięć lat!), lecz młodego mężczyznę, jakim był kiedyś: muskularny, niewysoki, nie wyróżniający się być może niczym szczególnym, ale obdarzony silnym charakterem, pomysłowy i odważny. Z pewnością siły opuszczały już ciało, ale umysł pozostał bystry i jasny. Spojrzenie, jakie jej rzucił, było przenikliwe i nieco chytre. Dianie przemknęła przez głowę myśl, że nie było to spojrzenie człowieka, którego ktokolwiek mógłby z łatwością oszukać.

— Ramon nie jest ludożercą, choć, jak wiesz, taką opinię wyrabia mu prasa. Myślę, że polubisz go.

— Może... ale przede wszystkim muszę się z nim spotkać — odparła z ironią — zanim zdołam przekonać się, czy trafnie oceniasz Ramona.

— Spotkacie się — zapewnił — nie martw się o to.

Nie wyglądał jednak na przeświadczonego, że obietnicy tej łatwo będzie dotrzymać. Nie winił Ramona za niezrozumiały, niemal irracjonalny upór, zważywszy na to, jak zaciekle tropił go reporter z „Brasilia Journal”, Gilberto Morel. Wiedział także, chociaż Diana zachowywała taktowne milczenie, że dziewczyna przyjaźni się z Morelem i prawdopodobnie wierzy, iż jego podejrzenia wobec Piresa nie są pozbawione podstaw. Spodziewał się jednak, że poznawszy bliżej Ramona, Diana zrozumie, jak nieuzasadnione były krytyczne uwagi kolegi. Sięgając po drinka, Vincente pomyślał nagle, że ta dziewczyna byłaby wprost idealną żoną dla Piresa. Różniła się tak ogromnie od Leah, która zamieniła go w cynika...

Uśmiechnął się mimo woli, wyobrażając sobie reakcję Ramona na bezpośredni sposób bycia i stanowczy charakter Diany. Iskry latałyby w powietrzu — to pewne — ale zwykle po burzy przychodzi pogoda...

— Przypomniał ci się jakiś żart?

— Żart? Nie — zachichotał — ale... w tej eleganckiej sukni... Nie wyglądasz wcale na nieustraszonego badacza, chociaż ja wiem, że nim jesteś. Ramon będzie pewnie zaskoczony, kiedy cię zobaczy.

W odpowiedzi uśmiechnęła się tylko pogodnie. Być może pozornie nie wyglądała na doświadczonego trapera, ale po spędzeniu ubiegłego roku u źródeł Amazonki jako towarzyszący wyprawie naukowej dziennikarz, była pewna, że da sobie radę nawet z Mato Grosso, uchodzące za jeden z ostatnich na ziemi dzikich i nie zbadanych terenów. Tak więc, jeśli Ramon Pires spodziewał się spotkania z jakimś tam popychadłem — będzie na pewno zaskoczony!

Nadeszła pora lunchu. Vincente sięgnął po laskę i podniósł się z trudem. Z pomocą Diany ruszył powoli do jadalni. Choroba, która uniemożliwiła mu swobodne poruszanie się o własnych siłach, a tym samym dalsze pełnienie funkcji dyrektora Parku, zamieniła jego codzienne życie w nieustanną walkę. Ale Cruz nigdy nie pozwalał sobie na chwile słabości, nigdy też nie narzekał.

„Gdyby Pires był choć trochę taki jak Vincente” — myślała Diana. Jego teleks do wydawnictwa, w którym pracowała, był, delikatnie mówiąc, mało uprzejmy. Przygnębiała ją myśl, że Park znajdował się właśnie w jego rękach w tak ciężkim okresie.

Obecny rząd zdawał sobie sprawę, jak łakomym kąskiem jest obfity w dobra naturalne teren Parku i rezerwatu. Tylko czyhał na jakiś pretekst, by zakazać wjazdu turystom i udostępnić te tereny drwalom na wyrąb i bogatym farmerom na wypas bydła. Władze nie dbały o przyszłość tego regionu, nie interesowały ich zmiany klimatyczne, nieuniknione po wytrzebieeniu dżungli. Indianie, odnoszący się do natury z

wrodzonym szacunkiem i pokorą, pomimo swego prymitywizmu dostrzegali te niebezpieczeństwa znacznie lepiej.

Diana żywiła dotychczas skrytą nadzieję, że jej książka może pomóc w przekazaniu informacji o zagrożeniu Parku Narodowego i w uratowaniu go przed zagładą; była to jedna z najważniejszych przyczyn, dla których znalazła się tu, w Brazylii. Ponadto było jeszcze Mato Grosso! Ta rozległa, tajemnicza wyżyna, która pochłonęła bez śladu niejednego badacza, a która owładnęła wyobraźnią Diany, gdy ta była jeszcze dzieckiem. Jej fascynacja tym miejscem przerodziła się w niemal bezgraniczną miłość, gdy dziewczyna znalazła się w zeszłym roku nad Amazonką. Toteż poczuła dreszcz radości, gdy zlecono jej opracowanie biografii Vincente. Nie była biologiem ani antropologiem, ale umiała pisać i spodziewała się, że ta książka choć trochę pomoże w uratowaniu dziewiczych regionów Brazylii.

— Zakładając, że uda się to ustalić z... Ramonem — zapytała, zajmując miejsce w jadalni — czy jest jeszcze coś specjalnego, czym powinnam się zająć, a o czym nie dyskutowaliśmy dotychczas?

— Ropami, oczywiście. — Vincente, odpowiadając, rozwinął złożoną serwetkę i spróbował zupy.

— O, tak. — Skinęła głową. Ropami była to góra na północy, gdzie żyło w jaskiniach plemię Indian Boroni. Z nimi to mieszkał Vincente przed wyruszeniem do Mato Grosso. Niestety, nie było już tam żywego ducha: wszyscy Boroni zmarli podczas epidemii ospy.

— Wiesz o tym, że to miejsce jest obecnie zupełnie opuszczone. Indianie z innych plemion wierzą, że wisi nad nim klątwa. Powinnaś jednak wybrać się tam, jeśli zamierzasz opisać moje młode lata w Mato Grosso. Jeżeli Ramon oso-

biście nie zaprowadzi cię, może dać ci przewodnika. Zajrzyj do pieczar — na ścianach są wspaniałe malowidła.

Dwa dni później, kiedy Diana wróciła do stolicy, odebrała telefon od Cruza.

— Załatwiłem to — oświadczył wyjątkowo zirytowanym głosem — ale musiałem robić wszystko za plecami Ramona, na wyższym szczeblu, Na szczęście, ciągle jeszcze mam godne uwagi wpływy w D.I.A. Bóg jeden wie, czemu ten chłopak ciągle nam przeszkadza...

Nastąpiła krótka przerwa, po czym znów usłyszała głos Vincente, już o wiele spokojniejszy.

— Tak czy owak, jesteś zapisana na piątek — odbierzesz bilety w biurze Departamentu. I jeszcze jedno — nie mówcie mu, że jesteście dziennikarzami, dobrze? Nie wspomniałem o tym, a skoro Ramon jest tak... przewrażliwiony... Myślę, że najlepiej ten fakt przemilczeć. Ty jesteś powieściopisarką, a Bob fotografem, rozumiesz?

Tego samego dnia Diana wybrała się do D.I.A. — Departamentu do Spraw Indian.

— Ramon Pires jest bardzo rozgniewany — oznajmił urzędnik, wręczając jej bilety. — Jest pani szczęśliwą osobą mając sędziego Cruz po swojej stronie. Pires nie chce teraz żadnych gości, protestował bardzo głośno przeciwko waszej wizycie!

— Słyszałam, że to bardzo trudny człowiek.

— Tak, ale i niewdzięczny, skoro sprzeciwił się życzeniom starszego pana, a przecież tyle jemu zawdzięcza.

Diana chętnie porozmawiałaby u urzędnikiem nieco dłużej, przeszkodził im jednak dzwonek telefonu. Wróciła więc do hotelu, gdzie spotkała Boba Hutchkina, amerykańskiego fotoreportera, z którym miała pojechać do Parku. Ostatni miesiąc spędził pracując w slumsach Sao Paulo i sam zapro-



ponował jej swoje towarzystwo w wyprawie do Brazylii. Przyczyny tej oferty były dla Diany zagadką do dziś. Bob podejrzewał na podstawie poufnych informacji, iż Ramon Pires zamieszany jest w jakąś nielegalną aferę, prawdopodobnie niedozwolone poszukiwanie złota na północy Parku. Gdyby tak było istotnie, Hutchkins miał nadzieję natrafić na dowody podczas dalszej podróży z Dianą.

Słuchała tych rewelacji z mieszanymi uczuciami. Nie miała żadnych zastrzeżeń wobec ewentualnych prób ujawnienia konfliktu Piresa z prawem, choć byłoby to ciosem dla Vincente. Jeśli jednak zarzuty zostałyby udowodnione, im prędzej by się to stało, tym lepiej dla Parku.

W każdym razie była zadowolona, że Bob wyrusza razem z nią, choćby nie był idealnym towarzyszem przy ryzykownych przedsięwzięciach. Nie mogła jednak doczekać się, kiedy wreszcie zobaczy Mato Grosso: rzekę Suia Missu, nagrzone słońcem krzaki cerrado, suche, spieczone pola i głębokie, nieprzebyte lasy, które kryją nadal sekrety, jakich żaden biały człowiek jeszcze nie poznał. Ona nie skarżyła się nigdy na trudy, ale Bob? Mówił wprawdzie płynnie po portugalsku, jak i Diana, ale jego naturalnym środowiskiem była dżungla betonowa, a nie dżungla rzeczywista. W Central Parku Diana byłaby zadowolona z jego opieki i ochrony, ale pobyt w Mato Grosso to — jak ująłby to Bob — „odmienna gra w piłkę”.

A jednak lubiła go. On także ją lubił i nie ukrywał, że chciałby gościć Dianę w łóżku. Był atrakcyjny; wysoki i szczupły, silniejszy niż mogło się wydawać i inteligentny, aczkolwiek zdradzał tendencje do beztroskiego

wikłania się w kłopotliwe sytuacje. Aktualnie rozwodził się właśnie ze swą drugą żoną, lecz nawet wymuszone alimenty, które zjadały jego pensję, nie nastawiły Boba wrogo wobec kobiet. W żaden sposób nie mogła nazwać go przystojnym, był jednak pełnym radości, zabawnym, dobrym kompanem — niezależnie od tego, czyjego łóżko było właśnie tym, w którym Diana chciałaby się znaleźć!

## ROZDZIAŁ II

W Barra do Garcas — ostatnim posterunku cywilizacji na skraju nie zbadanych obszarów Brazylii — złapali sfatygowaną, starą cessedę, jedyny środek transportu do Parku. Trzecim pasażerem był wysoki, chudy mężczyzna w ciemnym garniturze, który zaczepił ich, gdy oczekiwali przed biurem firmy na awionetkę.

— Sefior Taylor? — Uśmiech, z którym nieznajomy zwrócił się do Boba, był raczej wymuszony.

— Nie — odburknął Bob — nazywam się Hutchkins, ale...

— Taylor to moje nazwisko — przerwała chłodno Diana.

— Chciał pan ze mną rozmawiać?

Mężczyzna zwrócił się do niej zaskoczony.

— Przepraszam, ale odnieśliśmy wrażenie... — Szybko zapanował nad sobą i dodał uprzejmie: — Proszę darować mi, ale spodziewaliśmy się mężczyzny. Sefior Cruz nie dał nam bliższych informacji,

— Mam nadzieję, że moja płęć nie spowoduje żadnych problemów — odpowiedziała sucho Diana.

Uśmiechnął się blado, jakby dając jej do zrozumienia, że nie sposób uniknąć problemów, kiedy pojawia się kobieta.

Zaczęła się zastanawiać, czy nieznajomy nie jest przypadkiem osławionym Ramonem Piresem, kiedy mężczyzna wyciągnął do niej rękę.

— Proszę pozwolić, że się przedstawię: Tomas Domingo, lekarz z Parku.

Jego dłoń była chłodna i sucha. Wyglądał na inteligentnego, rzeczowego człowieka, ale jednocześnie bił od niego jakiś chłód. Diana wołała lekarzy o przyjaznym sposobie bycia, umiejących okazać współczucie chorym.

Zamienili jeszcze parę słów, zanim wezwano ich na pokład samolotu i lekarz uprzedził Dianę i Boba, że Pires nie czeka na nich u celu podróży, w Aldeia Cruz, gdzie przygotowano im kwatery.

— Pojechał przyglądać się walkom zapaśniczym Indian Xingu — wyjaśnił — i nie wróci wcześniej niż późnym wieczorem.

Dziewczyna nie żałowała specjalnie, że pierwsze spotkanie z Ramonem Piresem zostało przełożone. Zanim opuściła Brasilię, spotkała się ze swym przyjacielem, Gilbertem Mordem, reporterem "Brasilia Journal". Według niego, nazwisko Piresa brzmiało dla wielu bardzo nieprzyjemnie, a przyszłość Parku stała pod wielkim znakiem zapytania. Twierdził też, że wie z pewnych źródeł, iż rząd chce Park podzielić i północny sektor sprzedać prywatnym inwestorom.

„Czy informacja ta wiąże się z tym, o czym wspomniał Bob? — zastanawiała się Diana. — Czy Pires chciał zniszczenia Parku po to, ażeby móc zostać jednym z tych prywatnych inwestorów?”

— Czy sądzisz, że Pires jest rzeczywiście skorumpowany — zapytała wtedy Gilberta — czy po prostu niekompetentny?

— I to, i to. — Twarz Morela przybrała mściwy wyraz. Niektóre z historyjek, które jej opowiadał, były bardzo mętne. Diana nie była wcale pewna, czy można wierzyć w te relacje.

— Byłbym ci wdzięczny — dodał Gilbert — gdybyś miała szeroko otwarte oczy na te sprawy, będąc już na miejscu.

Jeśli on źle traktuje Indian — trzeba go koniecznie zdemaskować!

— O ile znajdę jakieś dowody — dostaniesz je. Nie martw się.

— Nie próbuj go jednak nie doceniać — ostrzegł ją. —  
Staje się niebezpieczny, gdy ktoś mu się sprzeciwia.

Zaśmiała się.

— Umiem dbać sama o siebie.

Morel potrząsnął głową.

— Ja nie żartuję.

Później Diana powtórzyła Bobowi ostrzeżenia Morela, ale Bob zaczynał już wątpić w wiarygodność informatora.

— Rozmawiałem z Julio Mendozą — wyjaśnił. — Robił w ubiegłym roku dokumentację Parku dla telewizji i twierdzi, że Pires został paskudnie oczerniony! Jeśli tak, to trudno się dziwić, że chłop złorzeczy prasie. Wzięli go na ząb, gdy tylko przejął Park od Vincente.

— Ale dlaczego?

— No, weźmy na przykład tych, którzy zaczęli tę kampanię. Czy znasz człowieka o nazwisku Jorge Riaz — właściciela „Brasilia Journal”, gdzie pracuje Morel? Otóż jest on głową potężnej spółki, która chce wykupić północną część Parku.

Potrząsnęła głową bez słowa.

— Kiedy Vincente przechodził na emeryturę, spółka starała się przekonać D.I.A., żeby na jego miejsce przyszedł ktoś z oddanych im ludzi. Kłócili się o to jak diabli, a Vincente upierał się, że tę pracę powinien dostać Pires. -Bob uśmiechnął się szeroko. — Znasz Vincente, zawsze postawi na swoim. Od tej pory ci ludzie stale mieszały się do spraw Piresa, przysparzając mu masę kłopotów.

— Może i tak... — Diana przygryzła w zamyśleniu dolną wargę — ale nie wiem, czy Gilbert pozwoliłby komuś wy-

wierać presję na siebie. „Co niekoniecznie podważałoby wiarygodność jego informacji” — pomyślała, nie mogąc zapomnieć mściwego wyrazu twarzy Morela. Jakakolwiek była prawda — Ramon Pires miał opinię człowieka trudnego, złośliwego i dominującego nad innymi. Jeśli chodzi o życie prywatne Ramona, Bob usłyszał od Julio Mendozy o pewnym bardzo interesującym fakcie.

— Znasz Leah Carstairs? — zapytał Dianę. — Tę od antropologii?

— Czy to ona opracowała dla telewizji serial o australijskich tubylcach?

— Tak, wyrobiła sobie ostatnio dobrą markę, prawda? Otóż Julio twierdzi, że Leah i Pires mieli romans kilka lat temu. Spędziła sporo czasu tu, w Parku, a on zupełnie stracił głowę.

— Co stało się potem?

— Widocznie znudziło się jej życie na odludziu. Wolała, jak sądzę, robić filmy, niż rzeczywiście doświadczać tego wszystkiego.

Diana zaśmiała się.

— Mogę sobie to wyobrazić, jej filmy są zbyt dobre, aby były prawdziwe.

— Julio mówił mi, że Pires był po tej historii bardzo rozgoryczony. Wiadomo zresztą, że on nie lubi kobiet.

— Jesteś tego pewny? — spytała kpiąco. — Zgodnie z relacją Gilberta, podejrzewa się Ramona o jakąś aferę miłosną z pielęgniarką, która pracuje w Parku. W każdym razie, co mam zrobić, jeśli naprawdę jest nieprzejednanym wrogiem kobiet? Zmienić płęć?

— Absolutnie nie! — zaprotestował ze śmiechem Bob. — Zostań taka, jaka jesteś.

Tego rana Diana poświęciła nieco więcej uwagi swojej osobie. Chciała wyglądać pociągająco, kiedy po raz pierwszy spotka Piresa. Wyciągnęła odprasowane, białe spodnie z bawełny i bladoniebieską bluzę z zakładkami. Na stopach miała skórzane sandały; nie była jednak wcale zadowolona z efektu. Powinna chyba zaczesać włosy do góry... Była bardzo dumna z włosów — burzliwej masy miedzianych loków, które najlepiej wyglądały luźno puszczone i wijące się dookoła ramion. Niestety, taka fryzura nadawała właścicielce wygląd zbliżony raczej do szalonej Cyganki niż poważnej i wykształconej osoby. Wielkie okulary przeciwsłoneczne też nie pomogły; kiedy wymieniła okulary na kapelusz z szerokim rondem — wynik jej zabiegów nie był ani trochę lepszy.

Krytycznie przyjrzała się odbiciu swej twarzy w lustrze: zielone oczy spoglądały spod gęstych, ciemnych rzęs łagodnie i życzliwie; piegi, które obsypały nos Diany, nadawały jej niewinny, wręcz dziecinny wygląd; usta miała zbyt szerokie, a uśmiech szczery i przyjacielski. Zazwyczaj Diana nie narzekała na urodę i nie przywiązywała nadmiernej wagi do wyglądu, teraz jednak zapragnęła być kimś innym, jakby bardziej dojrzałym...

Problem polegał na tym, że mając dwadzieścia sześć lat, wyglądała jak osiemnastolatka.

„Co tam — pomyślała, narzucając na siebie raz jeszcze ubranie, które przed chwilą zdjęła. — Teraz nie ma to najmniejszego znaczenia.”

— Ruszamy — rzuciła z uśmiechem w stronę Boba, który usiadł obok niej. — W głąb Mato Grosso, zupełnie jak pułkownik Fawcett!

— Jakt to? — zdziwił się Bob. W niebieskiej koszuli z krótkimi rękawami, ozdobionej pretensjonalnym emblema-

tem reklamującym jazz, przypominał bardziej turystę niż zawodowego fotoreportera. „To właśnie może wyjść nam na dobre” — pomyślała Diana.

— Fawcett? Jeden z pierwszych białych odkrywców, który rzucił wyzwanie plemieniu Xingu i ich fortecom — wyjaśniła rozbawiona ignorancją Boba. — Nie słyszałeś o nim? Wyruszył na poszukiwanie skarbu, ale nigdy nie wrócił; mówiono, że Indianie zjedli go na obiad.

Wznosili się coraz wyżej, Barra do Garcas pozostało już daleko za nimi. W dole rozciągało się dzikie pustkowie, pokryte drzewami przemieszanyymi z karłowatymi krzewami cerrado, ciągnącymi się aż po horyzont.

Gdy samolot lekko skręcił, Diana spostrzegła drogę, która wyglądała jak cienka, ledwo dostrzegalna w zieleni linia. „Całość wydaje się być nietykalna — pomyślała — a zarazem bezbronna. Jeśli Pires żywi jakieś złe zamiary, musimy go powstrzymać ze względu na Park.

Nagły błysk przykuł ich oczy; lecieli właśnie nad szeroką rzeką. Suia Missu, a samolot często zmieniał kierunek lotu w tym kraju, pozbawionym drogowskazów. Diana z przyjemnością obserwowała linie zakrętów, srebrzące się łachy piasku zwane „piais”. Właśnie tutaj, być może, walczył sam pułkownik Fawcett. Ten widok poruszył jej wyobraźnię — podobnie jak wtedy, kiedy czytała o nim przed laty będąc dzieckiem. Teraz nie mogła wprost uwierzyć, że jest tu naprawdę i leci ponad szlakiem bohatera ulubionej w dzieciństwie książki.

Bob podczas lotu drzemał, ale tuż przed lądowaniem ocknął się.

— Czy jesteśmy już blisko? — Ziewnął przeciągając się. Pochylony lekko ku towarzysze podróży, usiłował wyjrzieć przez okno.



— Tak! — odpowiedziała. — Czy nie zauważyłeś pasa startowego? O tam, gdzie rzeka bierze taki szeroki zakręt!

Gdy zapinała pas, dotknęła ramienia Boba. Coś kazało jej odsunąć się, choć sama nie wiedziała, czemu... Była zakłopotana własną reakcją.

Być może, wiązało się to z pewnym zawodem miłosnym, który przeżyła mając dwadzieścia lat. Ktoś ją wtedy boleśnie zranił. To doświadczenie przez długi czas ostrzegało ją przed wiązaniem się z kimkolwiek, nie mówiąc o zbliżeniu. Ostatnio stwierdziła, że jej obawy i lęk już minęły. Lubiła Boba: to chyba powinno wystarczyć, nie pragnęła już przecież miłości przez duże „M”. Z rozmyślań wyrwał ją raptowny manewr samolotu — schodził do trudnego lądowania na nierównym, trawiastym pasie startowym.

Doktor Domingo wysiadł pierwszy i gdy Diana wraz z Bobem podążali za nim z bagażami, zobaczyli, że mówił coś ze zdziwieniem i irytacją mężczyźnie opierającemu się o zaparkowaną w pobliżu ciężarówkę. Człowiek ten mógł mieć około trzydziestu lat. Był wysoki i szczupły. Miał długie, błyszczące, czarne włosy i twarz o surowych i dumnych rysach. Nosił obcisłe, wypłowiałe dżinsy i obszarpany podkoszulek.

— Kim on jest, jak myślisz? — wyszeptała Diana, gdy podeszli oboje z Bobem bliżej. Ten ktoś zachowywał się tak arogancko, że zainteresował ją pomimo nędznego ubrania.

Bob wzruszył ramionami.

— Po prostu jakiś najemnik, jak sędzę.

Doktor umieścił już wielką walizę na tylnej platformie ciężarówki i obaj mężczyźni odeszli w stronę samolotu. Ciemnowłosy nieznajomy nie zwrócił najmniejszej uwagi na Boba, ale rzucił Dianie przenikliwe spojrzenie, które wywołało rumieniec na jej policzkach.

Oczy miał czarne jak węgiel, a mijając dziewczynę, zlustrował wzrokiem jej figurę, zatrzymując dłużej spojrzenie na biuście, po czym przyspieszył kroku w ślad za oddalającym się doktorem.

— Co mu się wydaje, że kim on jest? — Diana zeszywniała, gdy kierowca znowu wrócił. Bała się przyznać, jak bardzo zaniepokoił ją ten typ. Tymczasem wóz zawrócił w stronę samolotu, gdzie pilot wyładowywał dużą partię skrzyń. Trzej mężczyźni pospiesznie umieszczali ładunek na ciężarówce. Pomimo gniewu Diana czuła, że ona i Bob powinni pomóc pracującym.

Jej sugestia spotkała się jednak ze sprzeciwem. Wykrzyknął z udanym przerażeniem.

— Co chcesz, żebym zrobił? Czy mam skrócić sobie kark, zanim jeszcze wystartujemy?

Kierowca właśnie podjechał i zatrzymał samochód obok nich. Bob, który nienawidził, gdy go ignorowano, zaczął mówić.

— Czy zabieracie nas do wsi? — zapytał agresywnym tonem.

Tamten uniósł odrobinę brwi.

— Mógłbym — odpowiedział. Wyglądał na znudzonego, gdy pochyłał się ospale nad kierownicą.

Oczy Boba zapłonęły złością.

— Oczekuje nas señor Pires, wiecie?

Kierowca znowu gapił się na Dianę w taki sposób, że straciła zwykłą pewność siebie. Po chwili przeniósł spojrzenie na Hutchkina i rzucił zdawkowo: — Wiem.

Obrażony i rozzłoszczony Bob pytał dalej:

— A co z naszymi torbami?

— Sprawdźcie sami. — padła wypowiedziana ostrym tonem odpowiedź. — Tam jest dużo miejsca. — Ruchem głowy wskazał na tył wozu.

Po umieszczeniu bagażu w samochodzie stali oboje zdeorientowani.

— Co teraz? — zapytała Diana. — Czy on zamierza nas zabrać, czy może mamy iść pieszo?

— Tylko nie to! — ponuro mruknął Bob, zezując do tyłu na stojący tam samolot. — Ale oto doktor, może on coś nam powie.

Kierowca wskazał doktorowi miejsce obok siebie, jako pierwszemu z pasażerów, ale doktor, gestykulując i wzruszając ramionami, podszedł do oczekującej z tyłu wozu dwójki.

— Pardon, sefior — rzekł, jakby przepraszając — dla sefiority mamy miejsce na przodzie, ale pan będzie musiał odbyć tę podróż z tyłu.

Diana posłała koledze współczujący uśmiech, gdy lekarz pomógł mu wdrapać się do środka. Domknął jeszcze klapę wozu, a potem doprowadził Dianę do szoferki. Nie było innej możliwości, jak wspiąć się i zająć miejsce pomiędzy doktorem a kierowcą, który odwrócił głowę i znowu wpatrywał się w nią natarczywie. To sprawiło, że czuła się wyjątkowo nieswojo. Na siedzeniu leżało stare sombrero, które podniósł, aby miała więcej miejsca. Kiedy włożył je na głowę, wyglądał jak jakiś „desperado” z Dzikiego Zachodu.

Gdy doktor Domingo wsiadł do szoferki, musiała przysunąć się bliżej do kierowcy, tak że ich uda ocierały się o siebie. Miał długie, szczupłe nogi; pod obcisłym materiałem dżinsów wyczuwała twarde mięśnie. Spodnie były przetarte na jednym z kolan i odsłaniały kawałek skóry, bledszej od opalonej twarzy i smagłych, silnych ramion. Był spocony po

męczącym wylądunku samolotu; na podkoszulku, pod pachami, widniały ciemne plamy. Pachniał olejem napędowym i świeżym potem; nie był to jednak zapach nieprzyjemny. Odsunęła się od mężczyzny i wtuliła w głąb oparcia.

Świadomy zmieszania Diany mężczyzna uśmiechnął się, ukazując silne, białe zęby, kontrastujące z opaloną skórą.

— Nie jest to może najwygodniejszy z pojazdów, sefiorita — powiedział z rozmyślną ironią — ale przynajmniej może pani być wdzięczna za to miejsce, w przeciwieństwie do pani przyjaciela.

— Ani mój kolega — odparła, podkreślając z naciskiem ostatnie słowo — ani ja, nie spodziewaliśmy się tu postoju taksówek.

Cokolwiek myślał o tym Bob, czuła instynktownie, że ten człowiek cieszył się tu jakimś autorytetem. Zastanawiała się, kim był.

— Miejmy zatem nadzieję, że nie spodziewacie się także, aby Parque Primeiro było świątecznym uzdrowiskiem — dodał, skręcając pojazd na leśny trakt.

— Oczywiście, że tak nie sądzimy — odrzekła chłodno. — Przybyliśmy tu, aby pracować, a nie na wakacje.

— Ach tak, pani jest pisarką, o tym słyszeliśmy — zachichotał. — Kobieta, która robi karierę i odnosi sukcesy, czyż nie tak? — Spojrzał na lekarza, jakby opowiedział mu właśnie dobry dowcip.

Doktor uśmiechnął się, ale nie wyglądał na rozbawionego.

— Tak jest! — odparła w odpowiedzi, po czym zacisnęła usta, hamując gniew. Szkoda czasu na rozmowę z mężczyznami, którzy karierę kobiet uważają za temat dowcipów.

Podróż trwała krótko, odległość była nie większa niż pół mili. Dotarli do rozległej polany i zaparkowali na środku, obok traktora. Polanę otaczało sporo drewnianych chat o

unowocześnionej konstrukcji, z wysokimi dachami, oknami i drzwiami. W oddali widać było słaby odbłask rzeki i szereg kanu wyciągniętych na brzeg.

Doktor wyskoczył szybko z wozu i podał Dianie rękę, by pomóc jej wsiąść. Podziękowała mu, a on z uśmiechem skłonił się lekko.

— To przyjemność, miss Taylor. — Skinęła głową, zastanawiając się, o czym naprawdę myśli. — Zechce pani wybaczyć mi... Muszę jeszcze coś przynieść...

Odszedł pospiesznie, a tymczasem kierowca otwierał tylną klapę, żeby Bob, który był w nader podłym nastroju, mógł wygramolić się z ciężarówki.

— Musicie wyładować bagaże — rzucił mu obcesowo kierowca. — Nie zostajemy tu i spieszy się nam w drogę!

Boba rozzłościło to jeszcze bardziej i kiedy uporał się już z wyładunkiem rzeczy, spojrzął nieżyczliwie na niego.

— Co mamy teraz robić? — zapytał. — Czy sefior Pires nie zostawił dla nas żadnych instrukcji?

Ciemnowłosa patrzył uporczywie i chłodno. Nie wyglądał już na znudzonego — ani tym bardziej — rozbawionego. Po chwili namysłu odezwał się obojętnym głosem.

— Bardzo łatwo dochodzi pan do fałszywych wniosków, sefior... Hutchkins. Dzicy nie noszą naklejek określających ich status, a pan popełniłby poważny błąd, gdyby potraktował omyłkowo szefa Xingu jak portiera. Nie tak dawno byli oni jeszcze kanibalami i pod wpływem prowokacji mogliby z łatwością cofnąć się do tego stanu.

Fotograf popatrzył na niego zaskoczony, ale Diana z trudem zaczerpnęła tchu.

— A tak! Widzę, że pańska przyjaciółka zaczyna wreszcie rozumieć...

Uśmiechnął się, potem wzruszył ramionami. Czarne oczy o zimnym, wyniosłym spojrzeniu utkwili w Bobie.

— Rozumiem, że będę musiał przesyłabizować swoje nazwisko, señior, to ja jestem Ramon Pires. Zechce pan darować mi mały żart pana kosztem, ale to pan był tą osobą, która zdecydowała się traktować mnie jak najemnika. Jak już mówiłem: niechaj będzie to lekcją dla pana. Powierzchność może być zwodnicza i to nigdzie tak często jak w Mato Grosso.

Bob był zły i zakłopotany, miał jednak dość rozsądku, aby zrozumieć, że sam aż się prosił o tę nauczkę.

— Muszę prosić o przebaczenie — rzekł zimno — ale powiedziano nam wyraźnie, że nie chciał pan być na miejscu, by nas powitać.

— Wiem o tym. — Pires absolutnie nie był zmieszany. Jego oczy zwęziły się. Dianę zmroziła myśl o pogardzie, jaką musiał czuć wobec nich.

— Ja sam prosiłem Tomasa, żeby was poinformował o tym. Tak się jednak złożyło, że moje plany uległy zmianie w ostatniej chwili.

Jeżeli Bob zamierzał w dalszym ciągu protestować, to został zapewne zniechęcony wyniosłym zachowaniem Piresa. Tutaj, na tej gorącej, opustoszałej polanie, obaj byli świadomi, że był to jego świat — nie ich.

Dziewczyna czuła, jak całkowicie opuszcza ją pewność siebie. Było w Ramonie Piresie coś, co ją przerażało. Spodziewała się, że będzie agresywny i konfliktowy, wiedząc, że ciężą na nim poważne podejrzenia. Tymczasem on nie okazał ani śladu słabości... Pogarda, jaką im okazywał, była miażdżąca.

— Skoro wiemy już, kim pan jest, może mógłby pan wreszcie pokazać nam nasze kwatery. — Zmusiła się, żeby

jej głos brzmiał stanowczo. — I proszę nam dać znać, kiedy będziemy mogli przedyskutować wspólnie nasze plany.

Pires uśmiechnął się szyderczo, a błysk złośliwego rozbawienia pojawił się w jego głosie.

— Oczywiście, musicie darować mi złe maniery. Jak się pani sama przekona, mamy tu mało rozrywek. Wasza chata jest tam, na lewo; nie jest luksusowa, ale urządzona odpowiednio. Wioska nie jest całkowicie opuszczona, jak powiedział Tomas, chociaż większość personelu pojechała oglądać walki zapaśników. Sefiora Ortiz jest tam, w tym dużym, krytym strzechą domu; to ona właśnie będzie was żywić. Proponuję, żebyście złożyli bagaże w waszym domku, a potem odwiedzili sefiore. Co do omówienia planów, no, będzie musiało to trochę poczekać, bo jestem bardzo zajęty, postaram się jednak znaleźć trochę czasu dla was w nocy.

O jakiegokolwiek dyskusji nie było mowy. Pires, kiedy tylko upewnił się, że Hutchkins wyładował wszystko z wozu, usiadł za kierownicą i odjechał, zatrzymując się na skraju łąki, żeby zabrać doktora.

Diana i Bob dotarli do chaty w milczeniu. Pierwszy przebrał je fotograf równie zły, jak udręczony podróżą.

— Chryste! — wykrzyknął. — Skąd miałem wiedzieć, że on to on?

Dziewczyna uporczywie patrzyła w ślad za ciężarówką z buntowniczym wyrazem twarzy. Ciągłe jeszcze brała ją złość na wspomnienie słów Piresa skierowanych do Boba: „Twoja przyjaciółka”

Odezwała się po dłuższej chwili.

— Wiesz, ja nie martwiłabym się tym; on umyślnie wprowadził nas w błąd. Ma widać specyficzne poczucie humoru.

Nie chciała przyznać, jak wstrząsnęło nią to odkrycie. Ramon Pires wcale nie był taki, jak się spodziewała: był

bardziej... przerażający, bardziej niepokojący, bardziej... bardziej groźny. Morel sprawił, że wyobraziła sobie Piresa jako nieokrzesanego prostaka i tyrana, a spotkała kogoś, czyja chłodna i pogardliwa duma zmroziła ją i osłabiła jej wolę.

Fotograf posłał Dianie krzywy uśmiech, przerzucając równocześnie torbę przez ramię i podnosząc walizę.

— Jeśli taki właśnie jest Pires, skłonny jestem sądzić, że twój przyjaciel musi mieć mimo wszystko rację! — krzyknął, ruszając w stronę chaty.

— Tak. — Diana otrząsnęła się nagle. — Jaki to nieprzyjemny człowiek! — parsknęła i zaczęła znosić bagaże do kwatery.

— Z pewnością tak, całkowicie podzielam twoje zdanie — zauważył kwaśno Bob, opuszczając na podłogę dwie duże walizy i torbę.

Wnętrze starej chaty było czyste i schludne, choć nieco surowe. Pomimo lodowatego zachowania Piresa, ktoś czekał na nich — ujrzeni wazon pełen kwiatów na stole, czyste, jasnioczerwone zasłony w oknach. W powietrzu unosił się lekki lawendowy zapach. Pod oknem stała ławka, koło ściany stół z trzema krzesłami, a kilka półek z książkami i magazynami umieszczono naprzeciwko drzwi. W dwóch sypialniach, które dzielił mały hall, łóżka były już posłane, a nad nimi wisały moskitiery.

Kiedy Diana wybierała jedną z sypialni, pomyślała o tym, że Bob będzie próbował namówić ją, żeby spała z nim tej nocy, ale tak naprawdę — nie wydawał jej się szczególnie atrakcyjny. Zaczęła rozglądać się. Prysznic i toaleta znajdowały się na zapleczu, ale pomimo istnienia małej przybudówki z lodówką, zlewem i kociołkiem — brakowało kuchni. Widocznie wszelkie posiłki dostarczano tutaj i wspólnie



spożywano. Zadbane i wygodne pomieszczenia wskazywały jednak na dobrze prowadzoną, jeśli nawet finansowo niezasobną, instytucję.

— No tak — rzekł Hutchkins po obejrzeniu nowej siedziby — mogło być gorzej, prawda?

Uśmiechnęła się.

— Czego oczekiwałaś? Przecież to nie jest wioska indiańska!

— Jeśli już mowa o Indianach... — Bob spoważniał. — Kiedy jechałaś z Piresem, czy powiedziałaś mu, że byłaś u źródeł Amazonki i że znasz indiańskie „lingo”?

— Nie, jeszcze nie.

— A więc niech to pozostanie naszą tajemnicą, a ty udawaj na razie niemowę. Wiesz, czemu? Tym sposobem możemy dowiedzieć się znacznie więcej.

— I kto wie, co mogłabym podsłuchać? — Diana zaśmiała się. — Tak, to by mu dobrze zrobiło. — Potem zaproponowała, żeby rozejrzeć się za chatą Marii Ortiz i za czymś do jedzenia.

Kiedy zmierzali do wskazanego przez Piresa budynku, w ich stronę zbliżyło się zaspane dziecko, przyrodziane jedynie w poszarpane majtki. Ssało kciuk i ciągnęło za ucho czarnego kundla. Pies szczeknął raz słabo, nie wykazując poza tym większego zainteresowania gośćmi. Chłopczyk spojrział na nich ciekawie i pobiegł w stronę domu wołając: — Mae, mae!

Niska, pulchna kobieta, ubrana w jasnoczerwoną letnią suknię zjawiła się na progu. Miała długie, ciemne włosy związane w koński ogon. Jej twarz rozjaśniał szeroki uśmiech.

— Bambino, bambino — zawołała śpiewnie, podnosząc malca i przytulając go do obfitego biustu, po czym gorąco

powitała przybyszów. — Dobrego dnia, sefior i sefiorita, witajcie w Aldeia Cruz!

Wprowadziła ich do niskiego, ciemnego pokoju, przyjemnie chłodnego, pomimo upału panującego na zewnątrz. Przymocowany do sufitu wachlarz obracał się nieprzerwanie dokoła, a siatki w oknach nie przepuszczały do wnętrza dokuczliwych owadów.

— Siadajcie — zapraszała gospodyni — musicie być zmęczeni po dalekiej podróży i głodni? Tak?

Vincente mówił o Marii w słowach pełnych uznania, oni również odkrywali w niej samą dobroć, gdy uwijała się koło nich, przynosząc jedzenie, skromne wprawdzie, ale smaczne i zdrowe. Później zasiadła przy stole, by wypić z gośćmi filiżankę kawy. Utrudzony malec zasnął na kolanach matki.

— Proszę powiedzieć mi, sefiorita — zwróciła się do Diany — jak ma się sefior Cruz? Czy trzyma się dobrze?

— O tak i często myśli o was; musiałam mu przyrzec, że przekażę wam obojgu, pani i Jose, serdeczne pozdrowienia.

Maria zarumieniła się.

— To bardzo dobry człowiek; było nam tak smutno, kiedy zachorował. — Łagodnie pogłaskała główkę dziecka. — On jest chrzestnym synem Ramona.

— Ramona?

Widząc zmieszanie dziewczyny, Maria zachichotała i pochyliła się nad synkiem.

— Mały Ramon — tak mówimy na niego. Sefior Pires był tym na początku zakłopotany, ale myślę, że także ucieszony. — Spojrzała na Dianę. — Nazwaliśmy nasze dziecko jego imieniem, ponieważ go podziwiamy. Tak jak sefior Cruz, sefior Pires jest także dobrym człowiekiem.

Dziewczyna wyczuła, że sefiora Ortiz rzuciła jej wyzwanie.

— Nie zdążyliśmy go jeszcze poznać — powiedziała po dłuższej chwili.

Maria zmarszczyła brwi.

— Jesteście tu, aby badać życie Indian, czy tak?

— Tak — odparła Diana i dodała: — Pragniemy dowiedzieć się też czegoś więcej o życiu Vincente. Będę bardzo zadowolona, jeśli zechce mi pani opowiedzieć o jego pobycie tutaj.

Kobieta znowu uśmiechnęła się pogodnie.

— Ach, sefiorita prosi teraz, żebym was zanudziła. My wszyscy kochamy mówić o tamtych dniach — proszę poczekać, dopóki nie spotkacie mojego Jose!

— Pojechał obejrzeć zawody? — spytał Bob.

Skinęła głową.

— On i dzieci, oprócz małego Ramona; to wielka radość dla nich. Sefior Pires wziął je, ale jedno z dzieci Xingu zachorowało nagle tego ranka, musiał więc spieszyć wrócić po doktora.

Po powrocie do chaty Diana doszła do wniosku, iż Pires miał powody, które tłumaczyły jego gwałtowność i nagły odjazd... a nawet jego gruboskórność...

Hutchkins jednak stanowczo się z nią nie zgadzał i twierdził z uporem, że Pires wyjechał, żeby upokorzyć ich.

Dziewczyna westchnęła ciężko.

— Mimo wszystko powinniśmy próbować nawiązać z Piresem poprawne stosunki, bo w przeciwnym razie nasza praca tu stanie się jeszcze cięższa.

— Co planujesz? Słodkie rozmówki z nim? Możesz w ten sposób uzyskać więcej, niż chciałybyś utargować!

Potrząsnęła głową.

— Nie pociagam go wcale, tego jestem pewna. A gdyby nawet było inaczej, to nie nęci mnie taka gra z nim.

— Jeśli myślisz, że ty go nie pociągasz, to wiesz bardzo mało o mężczyznach. — Bob spojrział na nią ponuro. — Widziałem, w jaki bezczelny sposób patrzył na ciebie! Właściwie powinnaś udawać, że jesteś ze mną zaręczona, mogłoby to oszczędzić ci wielu kłopotów.

Ku swej rozpaczycy Diana poczuła, że palą ją policzki.

— Nie bądź śmieszny! — krzyknęła gwałtownie. — Potrafię doskonale bronić się sama! — Obawiała się, że Bob dostrzegł jednak jej zmieszanie. ,

Odczuła prawdziwą ulgę, kiedy uśmiechnął się do niej i rzekł:

— Okay, nie bądź zła, kochanie, nie musisz ścinać mi głowy za ten pomysł.

— Przepraszam. — Uśmiechnęła się ze skruchą. — Nie zamierzałam kłócić się z tobą... Myślę, że to upał uderza mi do głowy, nie zdążyłam się jeszcze zaaklimatyzować.

## ROZDZIAŁ III

Przy obiedzie poznali Jose, którego szczupłość kontrastowała z pulchnością żony, ich siedmioro dzieci w wieku od dwunastu do dwóch lat i Jositę Gracias, nianię, a zarazem pielęgniarkę w Aldeia Cruz. Josita była drobną, ładną osobką z długimi, ciemnymi włosami, które nosiła splecione w warkocze upięte dookoła głowy. Ciemnobrązowe oczy promieniowały ciepłem. „Czyżby naprawdę była kobietą Piresa, jak mówił Morel?” — zastanawiała się Diana. Nie wydawało się to prawdopodobne; Jositę cechowała lęklivość i pewna naiwna szczerść, które nie odpowiadały zupełnie ludziom z takim temperamentem jak Pires, choć z drugiej strony była to, oprócz sefiory Ortiz, jedyna kobieta w osadzie.

Pojawiło się również dwóch mężczyzn, robotników „do wszystkiego”, Carlos i Felipe. Rodzina Marii była już po posiłku; jedzenie, jakie podała było typowo brazylijskie: góry ryżu i fasoli przyprawione ostrą papryką, cebulą i czosnkiem. Ramona nie było przy stole. Pozostał w indiańskiej wiosce, chociaż doktor stwierdził, że dziecko nie było tak poważnie chore, jak się początkowo obawiano.

Domingo jadł w milczeniu, zaś Felipe i Carlos wyraźnie ignorowali dwoje przybyszów, prowadząc na boku ożywioną konwersację. Tylko Josita traktowała gości życzliwie. Wypytywała Boba o jego pracę, co zawsze pobudzało jego elokwencję, chociaż tym razem musiał się pilnować, by uważano go za „fotografa egzotyki”, a nie fotoreportera.

Kiedy jednak wyraził żywe zainteresowanie gniazdami os, Diana uznała, że nieco przesadził, zwłaszcza że doktor Domingo podniósł brwi i rozpoczął badanie.

— Czy zna pan podstawy entomologii?

— Nie, nie znam! — roześmiał się Bob. — Jestem po prostu amatorem zafascynowanym wszystkim, co pełza po ziemi lub pnie się ku górze jak rośliny.

— Mamy tego pełno tutaj. — Uśmiechnęła się nieśmiało Josita, a potem spojrzała na lekarza. — Czy nie tak, Tomas?

Doktor wyglądał na roztargnionego.

— Tak, oczywiście...

— Koło rzeki jest takie wielkie gniazdo os — mówiąc to, nie odrywała oczu od lekarza w oczekiwaniu na jego reakcję. — Mogłabym pokazać to panu jutro, jeśli znajdzie się trochę wolnego czasu — zwróciła się do Boba.

Domingo przestał uporczywie wpatrywać się w talerz i oświadczył chłodno:

— Oczywiście, czas się znajdzie, jeśli chcesz zabrać senora Hutchkinsa w dół rzeki... Nie jesteś tu niewolnicą, Josito.

Otarł usta serwetką i wstał nagle od stołu, ze wzrokiem jakby niewidzącym i utkwionym w dal.

— Państwo mi wybaczą. Mam dużo pracy.

Oddalił się, a Bob obdarzył Jositę tak ciepłym uśmiechem, jakby był całkowicie oczarowany tą małą, brazylijską dziewczyną.

— To wspaniale, będę oczekiwał niecierpliwie.

— A jakie plany na następne parę dni ma pani, seniorita Taylor? — Dziewczyna zwróciła się do Diany grzecznie, ale bez poprzedniego ciepła.

— Nauczyć się tyle, ile zdołam o Parku — odparła Diana pogodnie. — Dużo zależy od sefióra Piresa, mam nadzieję, że porozmawiam z nim, kiedy wreszcie powróci tej nocy.

Josita wyglądała tak, jakby chciała coś powiedzieć, ale po krótkim namyśle zmieniła temat rozmowy.

Po posiłku Diana i Bob pomogli posprzątać ze stołu, a następnie wrócili do swej chaty. Diana zwróciła się do Boba z żalnym wyrazem twarzy.

— No i co myślisz o nich? Wesołą paczką trudno ich nazwać — z wyjątkiem tej pielęgniarce. — Skrzywiła się lekko i dodała: — Muszę stwierdzić, że świetnie sobie z nią radzisz.

— Nie mów mi, że jesteś o to zazdrosna? — Mężczyzna uniósł brwi. — Byłaby to premia za moje wysiłki.

Zaśmiała się.

— No, robiłeś do niej piękne oczy!

— Oczywiście — potwierdził — ale tylko z obowiązku. Chyba nie myślisz, że mógłbym zyskać u niej zaufanie po kilku słowach? A może po kilku pocałunkach?

— Mam nadzieję, że nie mówisz poważnie!

— To zależy, co masz na myśli. — Uśmiechał się znowu. — Ale nie; udawanie Jamesa Bonda nie jest moją mocną stroną... a poza tym ona nie jest w moim typie. — Urwał nagle, patrząc na nią znacząco, a potem zapytał: — Miałabyś ochotę na whisky?

— Owszem — odpowiedziała, czując nagłe zdenerwowanie. Bob poszedł do przybudówki przygotować drinki. Nigdy nie wyruszał w podróż bez butelki burbona i Diana była teraz z tego zadowolona. On miał już po uszy oczekiwania na jej decyzję, a ona ciągle jeszcze nie wiedziała, co ma właściwie zrobić.

— Diano... — Bob wrócił już z drinkami i postawił je na stole. Patrzył na nią uważnie, uśmiechając się równocześnie. Ujął ją za rękę, a kiedy usiłowała się uwolnić, ścinał mocniej.

— Diano — powtórzył ochryplym głosem, przyciągając ją mocno do piersi — ja pragnę ciebie, tylko ciebie...

Milczała, ale jej usta pragnęły pocałunku. Nie walczyła z nim, ponieważ nie umiała powiedzieć „nie”.

„Na co właściwie czekam — myślała — dlaczego nie możemy się kochać? Mam dwadzieścia sześć lat i nie chcę spędzić reszty życia bez mężczyzny. Lubię Boba, lubię go bardziej niż kogokolwiek innego i znam go już tak długo... Na co czekam? Na wielką miłość? To tylko głupie mrzonki...”

Wszystkie te myśli przebiegały przez głowę Diany, gdy Bob całował ją, przytulając do siebie w mocnym uścisku. Przyłgnął do ust dziewczyny w długim, namiętym pocałunku. Chciała odpowiedzieć tym samym, ale czuła się zagubiona, zimna. Żadnego podniecenia, żadnego dreszczu rozkoszy.

Nie mogła dłużej oszukiwać samej siebie: lubiła go bardzo, ale nie pożądała. Gdy zrozumiała ten fakt, uświadomiła sobie równocześnie, że partner posuwa się za daleko. Jedną ręką rozpinął guziki jej bluzki, drugą gładził jej biodra, usiłując wsunąć dłoń niżej. Czy przerwałaby jego pieszczoty, czy też zdecydowałaby się na zbliżenie w poczuciu fałszywego wstydu — aby zatrzymać go przy-sobie — nie miała się nigdy dowiedzieć, ponieważ w tym właśnie momencie odezwało się pukanie do drzwi.

Usiłowała powiedzieć coś, ale zanim Bob zrozumiał ją — drzwi stanęły otworem. Bob wyzwolił ją nagle z objęć i Diana usiłowała niezdarnie pozapinać guziki bluzki. Było jednak za późno.



Na progu stał Ramon Pires. Oparty o drzwi, z ręką wsuniętą za skórzany pas przyglądał się obojgu ironicznie.

— Powiedziano mi, że chciała się pani ze mną widzieć, senorita Taylor — rzekł z kpina w głosie. — Nie miałem zamiaru wam przeszkadzać... Czy życzy sobie pani, żebym przyszedł później?

— Nie. — Diana przełknęła ślinę. Była speszona i wściekła. — To ważne, żebyśmy porozmawiali. — Nagle odkryła, ku jeszcze większemu zakłopotaniu, że jeden guzik u jej bluzki pozostaje nie dopięty, i że Pires to zauważył. Zapięła go niezręcznie, czując, że policzki jej płoną.

— Mógł pan zapukać — odezwał się Bob gwałtownie. — Mamy prawo do życia prywatnego... — I nagle przerwał pod mrozącym wzrokiem Piresa.

— Pukałem, ale niewątpliwie był pan zbyt zajęty, żeby usłyszeć — padła chłodna odpowiedź. — Co do tego, jak zachowuje się pan prywatnie, to interesuje mnie to wyłącznie tylko wtedy, jeśli ma to związek z zarządzaniem tym Parkiem. Teraz powinniśmy chyba porozmawiać w moim biurze. Czy jest pani gotowa? — Zwrócił się w stronę Diany, a uszczypliwe pytanie dotyczyło jej wymiętej garderoby i zmierzwionych włosów.

— Tak — odpowiedziała i zacisnęła zęby.

— Idę z wami — zadeklarował Bob, zirytowany zupełnym ignorowaniem go.

— Wolę rozmawiać z sefioritą Taylor w cztery oczy. Pan, jak miemam, jest tu tylko jako jej asystent — odparł Pires pogardliwie.

— Tak, ale... — Hutchkins nie lubił kapitulować.

— Wszystko w porządku — burknęła dziewczyna. — Ja to załatwię.

Ze wstydem zdała sobie sprawę, że pragnie uciec od Boba, dopóki jego uczucia nie oziębną. Ku jej uldze zgodził się, aczkolwiek niechętnie.

Ruszyła więc za Piresem przez pogrążoną w mroku polanę. Gniew ją opuszczał, a na jej miejsce wkradał się lęk. Co powiedział Morel? „Bądź ostrożna, on może być niebezpieczny, jeśli ktoś stanie mu w poprzek drogi...” Z pewnym wysiłkiem oparła się niezrozumiałemu impulsowi, by pobiec z powrotem do Boba.

Biuro było po prostu chatą, podobną do pozostałych. Wnętrze skromnie umeblowane, z dwiema szafami w rogu izby i półkami wzdłuż ścian, na których stały książki z zakresu filozofii, polityki, medycyny i literatury — w języku angielskim, francuskim, hiszpańskim i portugalskim. Na biurku leżał stary, „zaczytany” tom poezji meksykańskiego poety, Octavio Pazo. Diana знаła niektóre z tych długich, metafizycznych poematów i wiersze Octavio Pazo były ostatnią rzeczą, jakiej mogła się spodziewać w biurze Piresa.

Mężczyzna podsunął Dianie krzesło, a potem usiadł za biurkiem, wpatrując się w nią. Zabębnił palcami po blacie i dobitnym, zimnym głosem spytał:

— A więc, seflorita, w jakim celu przybyła pani tutaj?

— Aby wykonać badania naukowe w związku z moją książką — odpowiedziała, czując, że ogarniają niepokój. — Ale przecież pan wie już o tym, Vincente powiedział panu.

— Czy nie jest pani również dziennikarką? — Zmarszczył gniewnie brwi i wlepił w nią oczy.

— Nie — zaprzeczyła, choć kłamstwo to przyszło jej z wielkim trudem. — Jestem po prostu pisarką.

— Co, u diabła, myśli Vincente, biorąc udział w tej grze?

— O czym pan mówi? — Była sploszona, ale usiłowała nie dopuścić do ujawnienia prawdy.

— Zaczniemy od płci. — Podniósł brwi z władcym wyrazem twarzy. — Czyj to był pomysł, żeby sugerować przyjazd mężczyzny? Trudno mi było pogodzić potem tę zapowiedź z panią!

Spojrzał przeciągle na wydatne piersi dziewczyny. Oczy błyszczały mu jak czarne węgle. — Jak miałem to rozumieć? Nie zauważył pani biustu?

— Nigdy nie mówiłam... — zaczęła, nie kryjąc gniewu.

— O, nie — zakpił — ani pani, ani Vincente, który wystrzegał się starannie, by nie wspomnieć, że jednym z gości będzie kobieta.

— Dlaczego miałyby to robić? — warknęła Diana. — Nie widzę żadnego związku między tym faktem a moją wizytą tutaj. Tylko dlatego, że nie cierpi pan kobiet?

— Kto to pani powiedział? — Uczepił się jej słów. — To jakieś plotki, czy tak? Widzę teraz, że to pani musiała nakłonić Vincente do tego spisku; z obawy, że odmówiłbym wam wstępu z powodu pani płci. — Zaśmiał się niemile. — Nie powinno wierzyć się we wszystko, czego się tak chętnie słucha, seniorita. Pani płęć jest ostatnim z naszych problemów. — Potem spojrzał na nią ponuro. — Proszę jednak nie udawać, że jest pani tylko powieściopisarką. Czy Vincente myśli, że jestem idiotą? Sprawdziłem panią, seflorita Taylor. Nie mamy wprawdzie telefonu, ale posiadamy radio. Jest pani dziennikarką, prawda? W ubiegłym miesiącu posłała pani artykuł o zbrodni w Brazylii do „Timesa” w Londynie.

Nie zaprzeczyła: nie miałyby to sensu.

Pires zacisnął pięści.

— Nie chcę tu dziennikarzy i Vincente wie o tym! Mam sposób, żeby teraz oboje was stąd wyrzucić!

Usiłowała nie zwracać uwagi na dziwne dławienie w gardle. Atmosfera robiła się coraz gorętsza. Gilbert Morel miał słuszną — miała do czynienia ze strasznym człowiekiem.

— Nie czuję antypatii do kobiet... — Utkwił wzrok w rozchylonych wargach dziewczyny. — Dopóki te kobiety znajdują się na właściwym miejscu.

Opuścił oczy i Dianie nagle przemknęła przez głowę myśl, że on nie jest Metysem; jego orli nos i ostre rysy były typowo portugalskie.

Z wysiłkiem wzięła się w garść.

— To miejsce dla kobiet, pana zdaniem, jest w domu? — spytała z pogardą. — I mają być posłuszne waszym kaprysom? Obawiam się, że to już dawno niemodne, sefior Pires. Vincente Cruz nie wysłałby mnie tu, gdyby podzielał pana opinię.

— Możliwe, ale to ja jestem nadal odpowiedzialny za wszystko i jeśli uznam, że zachowujecie się oboje, zarówno pani jak i pani przyjaciel, niewłaściwie, zostaniecie spakowani i odesłani stąd następnym samolotem.

„Tak więc Pires rzeczywiście myślał, że jest tu Bogiem?” Odetchnęła głęboko i spojrzała na niego błyszczącymi z oburzenia oczyma.

— Pana zachowanie jest nie do zniesienia! Nie jestem w stanie wyobrazić sobie, czemu Vincente aprobeje pana! Zachowuje się pan jak bigot! Ale ja nie boję się pana!

— Nawet jeśli zdecyduję się wyrzucić was z Parku? — spytał spokojnie, unosząc po swojemu brwi.

— Jeśli zostaniemy usunięci z Parku, to tylko dlatego, że ma pan coś co ukrycia! — odparła gniewnie. — I boi się, że moglibyśmy to znaleźć! — Mówiąc to Diana przeklinała samą siebie, że nie ugryzła się w język. Byłoby znacznie

mądrzej zasypać Piresa słodkimi słówkami! Dlaczego tak łatwo straciła zimną krew?

Tylko zacięte szczęki i bladość twarzy mężczyzny zdradzały, jak dotkliwie go zraniła. Wydawał się zupełnie spokojny. Patrzył na nią tak, że spuściła oczy. Nie mogła dłużej znieść jego spojrzenia; nie tylko z powodu zmieszania, jakie mimo wszystko odczuwała, lecz także z tej prostej przyczyny, że jego obecność niepokoiła ją. Nie był przystojny, to prawda, ale wywierał ogromny wpływ na jej zmysły. Był zimny, uparty, wręcz brutalny, ale posiadał silny, magnetyczny sex appeal. Starła opierać się temu wrażeniu, a jednak została zmuszona do opuszczenia oczu.

— Co pani chciała przez to powiedzieć? — Głos Piresa był szorstki i pełen goryczy. — Cóż takiego miałbym ukrywać przed światem? Komuś na tym zależy, aby mnie zniszczyć. Jeśli jest pani w porozumieniu z tymi ludźmi, niepotrzebnie się wysilam, rozmawiając z panią. Nie potrzebuje pani kamer i notesu, można to wszystko zrobić po wyjeździe stąd.

— Gdyby tak ta sprawa wyglądała, to po cóż nasze starania, żeby tu przybyć? — Podniosła się z krzesła, zbyt rozdrażniona jego obelgami, by myśleć jasno. — Nie jestem specjalistką od pisania łgarstw.

— Siadaj! — Ta komenda była tak ostra, że posłuchała jej, zanim zdała sobie sprawę z tego, co robi.

Na twarzy mężczyzny pojawił się dziwny uśmiech, a Diane wydało się, że widzi w jego oczach rozbawienie.

— Myśli pani zatem, że mam coś do ukrycia? — Pytanie było raczej retoryczne, a głos nie zdradzał ani odrobiny emocji.

— Jak pan to rozumie?

— Zostaniecie na zasadzie umowy, że odtąd zachowujecie się oboje nienagannie. Park to nie zoo z ludźmi na pokaz! Czy mówię jasno?

— Nie jesteśmy nieodpowiedzialni — odparła z wyzywająco podniesioną głową.

— A więc udowodnijcie to. — Nagle zmarszczył czoło, jakby przyszło mu coś jeszcze na myśl. Wstał, odsuwając krzesło i oświadczył: — Paszporty zostawicie tutaj jutro rano; przechowamy je dla was, dopóki tu jesteście. Jutro po południu może pani pojechać ze mną zobaczyć Indian Kingu. — Potem spojrzał na nią posepnie. — Powtarzam: zobaczymy, co dalej.

Na pożegnanie dodał jeszcze, żeby unikała kłopotów i nie wchodziła nikomu w drogę.

Zmartwiona ostatnimi słowami Diana wróciła do Boba, wchodząc do chaty z ciężkim westchnieniem. Być może dobrze się stało, że Pires znalazł ją w ramionach Boba, chociaż przysporzyło jej to dodatkowych kłopotów. Ramon Pires nie robił tajemnicy z faktu, że nią pogardza, lecz mimo to w podświadomości czuła, że jej pociąg fizyczny do tego mężczyzny nie był nie odwzajemniony.

Podczas jej nieobecności zapały Boba ostygły, choć na samym wstępie zdarzył się niemiły incydent.

— Powinnaś była nalegać, żebym ci towarzyszył! — krzyknął gniewnie, ściskając rękę Diany. Nie usiłowała się uwolnić, ale coś w jej twarzy chyba przekonało go, że nie ma już żadnych szans. Przeklinając pod nosem, puścił dziewczynę i poszedł nalać sobie whisky.

— Przypuszczam, że mogę winić za wszystko tego wstrętnego typu — westchnął — ale domyślam się, że byłbym się tylko wygłupił, prawda? Nie doszedłbym chyba z tobą do ładu, no nie?

Kiedy słabo zaproteutowała, potrzęsnała głową z krzywym uśmiechem. Zmieniając taktykę stał się z powrotem starym, dobrym kumplem. Zapytał, co Pires miał do powiedzenia. Opowiedziała mu tyle, ile mogła, a potem — tłumacząc się wyczerpaniem i silnym bólem głowy (co było zresztą prawdą) — udała się do łóżka samotna, rozżalona i z poczuciem winy wobec Boba, którego naprawdę nie chciała zranić.

Spała źle, chociaż noc była chłodna, a moskitiera trzymała z dala od sypialni wszelkie natrętne owady. Była nieszczęśliwa z powodu Boba, ale chodziło nie tylko o to. Pires również wytracił ją z równowagi. Ten tom poezji na biurku zmacił jej wyobrażenie o nim. W miarę jak stygła jej uraza i zaczynała obiektywnie oceniać ich starcie, dopuszczała do siebie myśl, że rozdrażnienie Piresa z powodu jej zachowania było usprawiedliwione.

Kłaniała, a zamieszanie dotyczące jej płci nie poprawiło sytuacji. Ona również była wściekła na Vincente z tego powodu!

Pires był nieprzyjemny i arogancki, ale teraz, po spotkaniu z nim, trudno jej było uważać go za skorumpowanego czy niekompetentnego, jak twierdził Morel. Z jaką dozą gorczy mówił o tych, którzy usiłowali przy pomocy oszczerstw zniszczyć go. Teraz, kiedy się uspokoiła, zdołałby ją przekonać. Czuła, że jej niechęć do tego mężczyzny zaczyna przemieniać się w szacunek.

Świadomość, że w mniemaniu Ramona ona i Bob przybyli do Parku, ażeby szpiegować go, napełniała Dianę wstydem. Chociaż, jeśli Indianie byli tu istotnie źle traktowani, jak przypuszczał Morel — wówczas każde oszustwo byłoby usprawiedliwione. Udręczona Diana usiłowała wytłumaczyć to sobie samej, dopóki nie zapadła w ciężki sen.

## ROZDZIAŁ IV

Obudziła się wcześniej i pomimo starań nie mogła zasnąć ponownie. Wstała, włożyła szorty i lekką bluzkę i wyszła z chaty.

Wokół budynków było cicho i spokojnie. Z drzew nie opadła jeszcze nocna rosa, kiedy Diana schodziła w stronę rzeki.

Śnieżnobiała czapła siedziała na dryfującej kłodzie, gdy mały, błękitny ptak rzucił się nagle w głąb wody, aby wynurzyć się ze srebrną rybką w dziobie. Wszystko to było tak piękne, że Diana nie chciała już wracać myślą do podejrzeń związanych z Piresem.

Westchnęła ze smutkiem. Łatwo jej było wierzyć w najgorsze pogłoski o nim, zanim przybyła tutaj, ale teraz, kiedy go spotkała, nie miała pojęcia, co o nim naprawdę sądzić. Oddziaływał na nią zbyt mocno; nie mogła osiągnąć koniecznego, dla słusznej oceny Piresa, dystansu. Westchnęła ponownie, uznając bolesny fakt, że gdyby Bob miał połowę zabójczego sex appealu Piresa — wówczas nie byłoby żadnych nieporozumień między nimi. Życie może być bardzo skomplikowane...

Nagle Diana zamarła w bezruchu. Usłyszała, że ktoś przedzierał się przez zarośla w dole rzeki. Uprzytomniła sobie, że znacznie oddaliła się od wioski, co było bardzo niemądre, a mogło okazać się niebezpieczne. Oczywiście, nie spodziewała się napotkać tu indiańskich łowców głów, ale...



Na pół z ulgą, na pół z niepokojem rozpoznała sylwetkę Piresa. Zbliżał się szybko przesmykiem między drzewami. Czy nie wyda mu się dziwna ta jej samotna eskapada? Zachmurzył się, kiedy ją zauważył.

— Co pani tu robi? — odezwał się opryskliwie, patrząc na nią tak, że poczuła się nieswojo.

Potrząsnęła głową. Nie widziała powodu, żeby raportować mu o każdym swoim kroku!

— Przyszłam popatrzeć na rzekę — rzekła. — Jeśli musi pan koniecznie wiedzieć!

— Czy ma pani pojęcie, jak łatwo zabłądzić w tych lasach? — zapytał lodowato. — Proszę nigdy nie wędrować samotnie! — Potem urwał, rozglądając się po polanie. — A może myślę się. Może pani przyjaciel ukrywa się gdzieś niewidzialny?

— Nie wstał jeszcze — odparła chłodno.

— Wyczerpany po szalonej nocy, jak przypuszczam? — Uniósł czarne brwi z szyderczym uśmiechem. — Mam nadzieję, że był zdolny do podjęcia miłosnych wysiłków z dobrym wynikiem po moim niefortunnym wtargnięciu do was?

Dianie udało się jakoś zapanować nad sobą. Jeśli było coś, czego szczególnie nie cierpiała — to właśnie tego rodzaju uwag.

— Czy pan umyślnie usiłuje być tak napastliwy? — Zdecydowała się skoińczyć te zaczepki. — Jeśli tak, to chciałybyśmy wyjaśnić panu, że moje życie prywatne to nie pański interes.

Ale Pires potrząsnął tylko głową.

— Jak długo przebywa pani tutaj, obawiam się, señorita, że wszystko co pani robi, jest jak najbardziej moim interesem. — Tak jak wczoraj, znów obejrzał ją od stóp do głów,

a jego wzrok zatrzymał się nieco dłużej na jej piersiach. Gdy zauważył wypieki na policzkach dziewczyny, jego oczy zwięzły się złośliwie.

— Szczególnie wasze życie prywatne, jeśli staje się ono krzykliwym pokazem seksu, który niepokoi mój personel, nie mówiąc już o Indianach! Powiem pani: mam już powyżej uszu dyletanckich dziennikarzy, jak pani i pani przyjaciel, którzy zjeżdżają tu wyłącznie po to, żeby odgrywać rzekomych badaczy!

— Jak pan śmie! — Jego świętoszkowata postawa rozwścieczyła Dianę. A dyletantką stanowczo nie była! Ogarnęła ją furia. Pires złapał ją za przegub ręki w tym momencie, gdy dłonią już musnęła jego policzek.

— Ma pani gorący temperament — stwierdził obojętnie, zmuszając ją do opuszczenia wzniesionej ręki. Dopiero wtedy puścił jej dłoń. — Ten przykład przekonał mnie, że nie wolno pozwolić pani błądzić samotnie po lasach. Jedno zagranie takie jak to, jeden policzek wymierzony w twarz krewkiego Indianina — i znajdzie się pani w kotle.

Gapiła się na niego, rozcierając machinalnie obolałe miejsce. Uścisk jego palców był bardzo silny.

— Bob miał rację — krzyknęła, nie bacząc już na nic. — Powiedział, że jest pan nieznośny! Co pana gryzie? Tkwi to w panu od chwili naszego przyjazdu!

Zrobiła taki ruch, jak gdyby zamierzała odwrócić się na pięcie i odejść, ale Pires chwycił ją za ramię i zatrzymał.

— Proszę pozwolić mi odejść!

Spojrzał na nią z ukosa.

— Jeszcze nie. Nie dowiedziałem się dokładnie, po co przybyła pani do nas.

— Pan wie — odpowiedziała Diana, starając się uwolnić.

— Powiedziałam panu.

— Ach tak, biografia... — zakpił. — Ale jestem pewny, że jest więcej powodów tej wizyty.

Dziewczyna zdrętwiała. Przecież oboje zamierzali wykrzyć, co też ma ten Ramon za uszami. Kiedy nie odpowiadała, dodał chłodno.

— No co? Zapomniałaś języka w ustach? A więc, oprócz zwiedzania wioski Xingu — dokąd jeszcze chcesz się udać?

Ciekawa reakcji Piresa odparła impulsywnie.

— Ropami — ta góra w interiorze. Vincente mówił...

— Mój Boże! — przerwał. — Vincente jest już chyba zupełnym starcem? Przypuszczam, że zna twego... łózkowego partnera? Czy on myśli na serio, że któreś z was może odważyć się na ekspedycję do serca puszczy? Do diabła, wy wszyscy potrzebujecie wizyty u psychiatry!

Usiłowała raz jeszcze uwolnić się z uchwytu Piresa, co tylko pogorszyło jej sytuację. Trzymał jej prawą rękę w żelaznym uścisku i kiedy rozgniewana starała się wyrwać — straciła nagle równowagę i znalazła się w jego objęciach. Śmiał się, trzymając Dianę zupełnie bez wysiłku.

— O co ci chodzi? Nie podobam ci się? Długo nie miałem kobiety... nieduże są tu możliwości wyboru. Maria — sama wiesz, a Josita — zbyt niewinna na takie rozrywki...

„On żartuje” — pomyślała, raczej zła niż przerażona. Ale po chwili odczytała w jego czarnych jak węgiel oczach zamiar, który ją zaniepokoił.

Nadal usiłowała się wyswobodzić, ale Pires trzymał ją zbyt mocno, przyciskając do drzewa i całując bez pamięci. Czowała twarde, zachłanne wargi i kłującą, nie ogoloną skórę. Zaciśnęła powieki i znosiła pocałunki biernie, stojąc jak skamieniała. Gdy poczuła, że wypuścił ją z objęć, otworzyła oczy. Stał zwrócony do niej bokiem z zagadkowym wyrazem twarzy.

— Tak więc myliłem się? Nie jesteś dla każdego, kto o to prosi? — zapytał chłodno.

— Gdybym znała cię lepiej — zasyczała — powiedziała-bym, że cię nienawidzę. Jesteś godny pogardy!

W odpowiedzi mężczyzna roześmiał się głośno.

— Tak burzliwa reakcja po małym całusie! Pani zdumiewa mnie, miss Taylor, bo wydawała się raczej chętna do pocałunków... i czegoś więcej... kiedy przeszkodziłem wam ubiegłej nocy.

— Tamto było czymś zupełnie innym. — Oczy zabłyśły jej wojowniczo. — I pan wie o tym.

— Ja wiem? — zapytał zdziwiony. — Skąd? Nie powie mi pani, że zamierza poślubić swego kolegę?

— Tak, zamierzam — przytaknęła, pragnąc odebrać Pire-sowi pewność siebie.

Sięgnął znowu po jej rękę — tym razem lewą, by uważnie obejrzeć dłoń.

— Nie widzę pierścionka!

— Nie dbam o pierścionki — odparła ostro. — Ani o żadne inne symbole.

— W porządku. Mam nadzieję, że wiesz, co robisz, moja droga, ponieważ ten twój mężczyzna jest głupcem. — Zaśmiał się gorzko. — Czy on zgadza się na ten twój szalony plan zobaczenia Roparui? Jeśli tak, to jest jeszcze większym idiotą, niż przypuszczałem wczoraj. To jest poroniony pomysł! Jeśli ty nie zdajesz sobie sprawy z tego — to na pewno on powinien! Myśleć o zabranii kobiety do interioru jest dowodem zupełnego braku odpowiedzialności. — Nagle ruszył z miejsca mówiąc: — Chodź. Muszę wracać.

Zapominając o obietnicy danej Bobowi, pospieszyła za nim.

— Nie wiem, o czym mówisz! Jestem absolutnie zdolna do takiej wyprawy, nawet sama!

Zatrzymał się i odwrócił głowę w jej stronę.

— Nie nadużywaj mojej cierpliwości, seflorita, bo możesz bardzo tego żałować.

Ruszył naprzód wielkimi krokami, a Diana z trudem starała się mu dorównać.

— Jesteś nierozsądny — powiedziała sapiąc. — Ja muszę pojechać tam; Vincente...

— Nie!

Diana zatrzymała się.

— Słuchaj — zaczęła, zdecydowana nie poddać się — Vincente twierdził, że muszę się tam udać, że to jest najważniejsze!

— Aż tak? — Pires także przystanął. — W jaką to grę na inteligencję chcesz się bawić, seflorita? — Przeszył ją na wylot ostrym spojrzeniem. — A może to był Gilberto Morel?

— Morel? — powtórzyła zaskoczona. — Co masz właściwie na myśli?

— Mój Boże! Za kogo mnie bierzesz? Czyż to nie oczywiste, po co tu jesteś? Masz nadzieję, że wykopiesz trochę brudu, co uszczęśliwi Morela, nieprawda? Jesteś gotowa zaprzeczyć, że spotkałeś się z nim, zanim tu przyjechałeś?

— Ja wtedy... Tak, ale... — mamrotała niewyraźnie.

Zaśmiał się głośno.

— Jak ci mówiłem ubiegłej nocy, ja także przeprowadziłem swoje badania. Nie jestem takim naiwnym głupcem za jakiego mnie uważasz!

— On jest po prostu przyjacielem — zaczęła. — Fakt, że go spotkałam, o niczym jeszcze nie świadczy...

Pires potrząsnął głową.

— Spodziewasz się, że w to uwierzę? Mów dalej, sefiorita. Co chciałaś, żebym ci pokazał? Morzone głodem indiańskie dzieci? A może zgwałcone kobiety? Są to najświeższe zbrodnie, o które oskarża mnie twój przyjaciel Morel i chyba nie powiesz mi, że nic o tym nie wiesz? — Zachichotał złośliwie, widząc jej zmieszanie. — Tak, może piszesz biografię Vincenta, ale czy ośmielisz się zaprzeczyć, że twoim prawdziwym celem jest wysłanie stąd soczystego artykułu do stolicy?

— Nie, to nie tak! — protestowała szczerze, ale czuła się, jakby grunt usuwał się jej spod nóg. Pires był przecież bliski prawdy...

— A więc inaczej? — spytał szyderczo. — Nie będę jednak ryzykował. Do diabła z Morelem i Vincente! I tobie także nie ufam, i oświadczam ci raz na zawsze, że nie pojedziesz do Ropami ani nigdzie bez mojego pozwolenia, do końca pobytu tutaj.

— Ale gdybyś dał nam przewodnika — upierała się — to on mógłby zabrać nas do Ropami i mieć na oku.

— Nie rezygnujesz tak łatwo, co? — Potrząsnął głową z desperacją. — Nie mogę wycofać przewodnika z Parku, żebyś ty miała opiekuna, jak niemowlę w pieluchach, choćbym nawet chciał! Nie możesz jechać tam wozem, nie ma też samolotów, cała okolica to terytorium dziewicze. To jest niemożliwe, czy wreszcie zrozumiałaś?

Ruchem dłoni spłoszył jakiegoś owada, który go prześladował i ciągnął dalej: — Możesz zostać tu jeszcze parę dni, jak ustalono z wami, ale ostrzegam — jakiś kłopot — a odlatujecie następnym samolotem i, do diabła z tym, co może mieć do powiedzenia D.I.A. w stolicy!

Resztki sympatii do niego, jakie jeszcze tliły w głębi serca Diany, zniknęły po tym despotycznym oświadczeniu. Nie

zamierzała już zdradzić mu, że nie jest nowicjuską, tylko doświadczonym badaczem. Niech jej nie docenia — ze szkodą dla siebie!

Odciągnął ze ścieżki gałąź blokującą przejście i pozwolił jej iść przodem, udzielając jednocześnie dobrych rad.

— Następnym razem, idąc na spacer, ubierz się stosowniej. Poza samą wioską noś długie spodnie, są znacznie bezpieczniejsze. Jeśli podrapiesz nogi o trujące krzaki albo nadepniesz na węża, będziesz w poważnym kłopotcie!

Wiedziała o tym, oczywiście, i gdyby zamierzała przedzierać się przez zarośla dżungli z całą pewnością włożyła by spodnie, a nie szorty. Z trudem stłumiła złość i ugryzła się w język, żeby nie zaczynać sprzeczki.

Dotarli wreszcie do piaszczystej ścieżki, gdzie wyciągano na plażę czółna, Pires stanął, uśmiechając się do niej w dziwny sposób.

— Powinnaś się wystrzegać nie tylko trującej winorośli, jeśli wyruszasz na wędrowkę sama, ubrana tak jak dziś... — powiedział łagodnie. — Wyglądasz zbyt kusząco. Pamiętaj, że to jest dzikie, prymitywne miejsce i wszyscy mężczyźni są tu sfrustrowani i tęsknią do kobiet. Może nie podobało ci się, że cię całowałem, ale kiedy pomyślisz o tym dłużej, stwierdzisz, że miałaś szczęście, spotykając mnie, a nie jednego z obcych mężczyzn. Gdyby odkryli, że jesteś tam zupełnie sama, wątpię, żeby pocałunek był wtedy wszystkim, czego by żądali.

Diana zdrętwiała, ale kiedy ich oczy spotkały się, zrezygnowała z wyniosłego spojrzenia, jakie zamierzała mu rzucić. Chciała być zimna i złośliwa, podkreślić swoje „ja”, ale odkryła nagle, że brak jej słów. Po raz pierwszy Ramon uśmiechnął się do niej ciepło, bez chłodnej ironii — i poczuła się dziwnie, jakby zabrakło jej tchu, jakby znów czuła

jego wargi na swoich ustach. Ten pocałunek zmienił coś między nimi; chociaż go odrzuciła — rzucił na nią czar...

A gdyby Pires żądał od niej więcej? Byłby to gwałt: walczyłaby z nim, ale z łatwością mógłby ją pokonać. I wyszedłby z takiej sprawy gładko: tu on był potęgą. Zadrżała nagle, dziwiąc się, czemu nawiedzają ją takie szalone myśli. Czy Pires był naprawdę złym człowiekiem? Nie wyraził! jej żadnej krzywdy, mimo wszystko pozwolił jej odejść. Znowu poczuła dreszcze, choć nie było wcale zimno.

— Przeraziłem cię — rzekł nagle sucho, wyciągając rękę, by podnieść wyżej jej podbródek. Teraz nie mogła już unikać jego oczu. — Ale to było konieczne. Następnym razem dwa razy pomyślisz, zanim znów wybierzesz się sama na wycieczkę do lasu.

— Nie dotykaj mnie! — krzyknęła otrząsając się. — I nie potrzebujesz mi matkować! Nie jestem dzieckiem. Mam dwadzieścia sześć lat i wolałabym, żebyś traktował mnie jak dorosłą osobę. Gdybym była mężczyzną, nie robiłbyś tyle hałasu o to, dokąd poszłam.

Zaśmiał się wesoło.

— Gdybyś była mężczyzną, nie miałybyś tak ładnych nóg, szkoda gadać.

Był niesamowity. Okręciła się na pięcie i oddaliła majestatycznie w stronę wsi. Przez całą drogę czuła jego wzrok na sobie.

W jadalni zastała Boba zjadającego skromne śniadanie złożone z jajek i bułek oraz wielkiego dzbana mocnej kawy.

— Gdzie byłaś? — zapytał, kiedy wśliznęła się na swoje miejsce. Uśmiechał się do niej serdecznie i przyjaźnie, wiedziała więc od razu — ku wielkiej uldze — że nie chowa do niej żadnej urazy za minioną noc. — Właśnie zaczynałem martwić się o ciebie!



— Przykro mi, powinnam była zostawić ci karteczkę... Obudziłam się wcześniej i nie mogłam już zasnąć, więc postanowiłam pójść na spacer wzdłuż rzeki. Zapędziłam się dalej niż zamierzałam. Ra... — urwała. Czemu chciała nazwać go po imieniu? Czy sprawił to ten pocałunek? — Miałam pecha, bo spotkałam Piresa. Uznał mnie za idiotkę i uparł się eskortować mnie z powrotem do wsi, żeby mnie ktoś nie skrzywdził.

— Pires? — Bob zmarszczył brwi. — Co on tam robił?

— Nie wiem.

— Mówił coś? — Hutchkins wyglądał na rozdrażnionego.

— Niedużo. — Diana wcale nie miała ochoty dyskutować na ten temat, ale później, już w ich chacie powtórzyła parę szczegółów rozmowy z Piresem. Nie wspomniała ani słowem o pocałunku, powiedziała tylko, że oświadczyła Piresowi o rzekomych zaręczynach z Bobem.

— Wiesz, że jest mi to obojętne — zauważył trochę ochrypłym głosem. — Ale pragnę, żeby tak się stało — dodał.

— Och, nie! — Powinieneś dwa razy pomyśleć, zanim wypowiesz takie słowa — zażartowała Diana. — Podwójne alimenty to jeszcze za mało?

— Znasz mnie — odpowiedział wesoło. — Jestem zawsze gotów bić głową w mur jeszcze raz.

Dziewczyna zmieniła temat.

— Kiedy powiedziałam Piresowi, że zamierzamy udać się do Roparui, odparł, że nie możemy. Zareagował na to tak gwałtownie, że zaczynam się zastanawiać: co on ma do ukrycia? Wie też, że widziałam się z Morelem. Wyjaśnienie tego było nieco kłopotliwe, delikatnie mówiąc. Och, nie wiem, co o nim myśleć!

— Może dowiem się czegoś od Josity. — Bob spojrzął na swój zegarek. — Jestem umówiony z nią. Już czas!

— Baw się dobrze! — zawołał.

Gdy została sama, wyszła i rozejrzała się bacznie po wiosce. Starła się odgadnąć, jak wszystko tu wyglądało, kiedy Parkiem zarządzał Vincente. Obecnie atmosfera na pewno zmieniła się na gorsze. Choćby doktor Domingo — zachowywał się ostatnio bardzo chłodno wobec biednej Josity. Wszystko to było zagadką. Wstąpiła jeszcze do pustego biura Piresa i zostawiła tam paszporty, tak jak jej polecił. Wracając przeszła koło chaty, w której mieścił się szpital. Uśmiechnęła się do Indianki siedzącej na ławce. Ponieważ kobieta mówiła tylko językiem tubylców, rozmowa z nią była niemożliwa. Diana nie chciała zdradzać się ze znajomością narzecza Xingu.

Jej pewność! siebie została jednak zachwiana, kiedy przekonała się, że nie rozumie ani słowa, przysłuchując się paplaninie Indianki.

Późnym rankiem obejrzała wszystko, co najbliższe sąsiedztwo miało jej do zaoferowania i zmęczona upałem usiadła na ławce w cieniu drzewa w pobliżu jadalni. Natychmiast zaatakował ją rój podobnych do muszek insektów. Nie dały jej już ani chwili spokoju, wróciła więc do chaty zdecydowana zachować resztki energii na popołudnie i wizytę w wiosce Indian Xingu.

## ROZDZIAŁ V

Jechali do wioski Xingu ciężarówką. Cała trójka: Pires, Diana i Bob, usadowiła się razem w szoferce, chociaż Diana wolałaby raczej samotną jazdę z tyłu wozu. Ani Pires, ani Bob nie byli dobrymi kompanami, a podróż przy tym upale i tak nie należała do najprzyjemniejszych.

— Podobało się? — Pires uśmiechnął się, jak zwykle kpiąco, do Diany, gdy zeskoczyła na ziemię.

Zacisnęła zęby i odwzajemniła jego uśmiech.

— Było rozkosznie — oświadczyła ironicznie, otrzepując się z pyłu.

Przymrużył oczy na chwilę, a potem powiedział opryskliwie: — Proszę za mną! — Ruszył przodem w stronę wioski. Ciężarówkę zaparkował spory kawałek drogi od osady, ale tłum indiańskich dzieci wybiegł już na ich powitanie. Za nimi kroczyło trzech dorosłych Indian ubranych tylko w przepaski na biodrach, ale bardzo szczerze wymalowanych farbą w różnokolorowe wzory.

Dzieci witały Piresa entuzjastycznie, a on porwał małego naguska w ramiona i huśtał go, ku ogromnej radości malca. Inne dzieci zebrały się tuż obok, śmiejąc się i paplając, ale gdy zobaczyły nadchodzącą z tyłu Dianę, zamarli w niemym zdumieniu.

Mężczyźni z wioski także zatrzymali się nagle i wszyscy zaczęli się w nią wpatrywać. Bob najwyraźniej nie zasługiwał na ich zainteresowanie.

Pires postawił malca na ziemi, a potem obrócił się i wezwał gestem Dianę, aby się zbliżyła. Cień uśmiechu towarzyszył jego słowom, gdy przemawiał w narzeczu Indian, przedstawiając ją zebrany; Dianie wyjaśnił, że chodzi o jej rude włosy.

— Oni nigdy nie widzieli czegoś takiego. — Kąciki jego ust zadrgały. — Pragną wiedzieć, czy jesteś jedną z legendarnych kobiet z Amazonii.

Ku swemu zmartwieniu poczuła, że płoną jej policzki. Indianie, których spotkała rok temu, byli podobnie zmieszani widokiem jej miedzianych loków, ale to drażniące zachowanie Ramona, bardziej niż reakcje Indian, wywołało jej rumieńce. Opanowała się jednak.

— Czy mogę... — spytała, choć nie lubiła prosić o pozwolenie. — To znaczy, czy Bob może zrobić parę zdjęć?

— Owszem — odparł i zwrócił się ponownie do Indian.

Pomimo wysiłków, by przyswoić sobie narzecze Xingu, Diana mogła pojąć zaledwie niektóre słowa z przemowy Piresa, po której wystąpił ochoczo z grona słuchaczy chłopak w wieku około dwunastu lat.

— To Tacumbe — przedstawił chłopca Hutchkinsowi. — Pokaże panu rzekę, gdzie łowią ryby. Mówi po portugalsku i bardzo chętnie zostanie pańskim tłumaczem. — Uśmiechnął się do chłopca i rozwichrzył jego włosy. — Czyż nie tak, Tacumbe?

— O, tak, senor. — Tacumbe posłał Piresowi szeroki uśmiech i oddalił się dumnie, mówiąc coś do Boba, który ubrany w jasną koszulę w kratkę i białe, bawełniane spodnie, wyglądał jak typowy amerykański turysta.

Diana na polecenie Piresa udała się z nim do największej z długich, strzechą krytych chat, w których mieszkali India-

nie. W środku było tak ciemno, że Diana czuła się jak oślepią. Przesycone dymem powietrze kłuło ją w oczy.

— Przejdź tutaj. — Poczwała jego rękę na łokciu i została popchnięta w głąb chaty. Gdy przyzwyczała się do mroku, zauważyła starego człowieka siedzącego przy ognisku z kocem na ramionach.

— Oto Kiaru, szef wioski — wyszeptał Pires. — Siadaj i bądź cicho.

Usiłowała uwolnić łokieć, ale Pires trzymał ją mocno, siadając obok niej ze skrzyżowanymi nogami.

Naczelnik plemienia przyjrzał się uważnie dziewczynie, po czym zwrócił się do Piresa i ze strapioną twarzą zadał mu kilka pytań. Dziewczyna wyłapała znaczenie jednego lub dwóch słów, nie wystarczyło to jednak, by odgadnąć, o czym właściwie mówią mężczyźni. Ramon odpowiadał spokojnie, a stary człowiek wydawał się być zadowolony. Splunął do ognia, potem zaśmiał się i, spojrzawszy na Dianę, rzucił gardłowym głosem jakąś uwagę, na którą Pires odpowiedział z ogromnym rozbawieniem.

— O co cię pytał? — zaszepiała.

— Czy naprawdę chcesz wiedzieć? — Spojrzał na dziewczynę kąpiąco i zaśmiał się cicho. — Kiaru nie włada biegle twoim językiem, chociaż rozumie nieźle mój portugalski. Chce wiedzieć, czy jesteś moją kobietą i gdzie cię znalazłem. Chciałby też drugą taką jak ty, jeśli masz siostry.

Diana stwierdziła z zażenowaniem, że znowu czerwienieją jej policzki, ale wtedy weszła do chaty młoda kobieta, niosąc wielki, gliniany dzban.

— Napoje orzeźwiający! — skomentował ironicznie Pires.

— Co to jest? — spytała dziewczyna nieufnie.

— Napój: jeśli nie chcesz ich obrazić, udawaj, że ci bardzo smakuje — odparł niedbałym tonem, ale jego palce zacisnęły się ostrzegawczo na jej ramieniu.

— Możesz mnie zostawić i zaufać moim dobrym manierom — odparła, uśmiechając się mile w stronę Indian.

Skinał chłodno głową i uwolnił jej ramię.

— Nie zawieźdź mnie zatem! — Nie musiał jednak martwić się o to: nikt, nawet obserwując Dianę, nie odgadłby, że uznała swój "drink" za przeraźliwie mdły i słodki...

Pires tymczaem rozmawiał znów z Kiaru, wyjaśniał mu cel wizyty Diany. Stary wódz zaczął wtedy mówić do niej łamaną portugalszczyzną o Vincente. Gdy słuchała wspomnień Kiaru, czas jakby przestał istnieć. Jego opowiadania przeniosły ją w przeszłość, kiedy i Kiaru, i Vincente byli młodzi, a Indianie wierzyli, że cały świat kończy się na skraju lasów.

Pires musiał ostatecznie położyć kres tej rozmowie. Długi czas zachowywał milczenie, słuchając w zamyśleniu, ale w końcu oznajmił Kiaru, że muszą już wkrótce odjeżdżać. Wódz przerzucił się na swoje rodzime narzecze i Pires, uśmiechając się, tłumaczył jego słowa Dianie.

— On ma nadzieję, że wrócisz tu i prosi, żebyś przesłała najlepsze życzenia jego staremu przyjacielowi.

Podziękowała i w ślad za Piresem opuściła chatę wodza. Lawirując pomiędzy rzędami słupów, do których Indianie zwykli przywiązywać hamaki, wyszła wprost na otwartą przestrzeń i osłepiające słońce, zmuszające do przymknięcia powiek. Gdy przyzwyczaiła się już do światła, zobaczyła Piresa. Czekał na nią z rękami zatkniętymi za pas swoich dżinsów. Miał na sobie koszulę khaki z długimi rękawami, która rozpięta teraz z powodu upału, odsłaniała ciemnobrązową skórę na piersiach. Ponownie poczuła się jak zahipno-

tyzowana przez niego. Odwróciła oczy w inną stronę, zła na siebie samą.

— Czy chcesz przejść się i zobaczyć resztę wioski, zanim ruszymy z powrotem? — Pomimo ponurego spojrzenia ton jego głosu był dość uprzejmy.

— Tak... Chętnie.

Większość chat otaczała kręgiem otwartą przestrzeń centrum; w każdej chacie mieszkało po kilka rodzin. Niektóre z kobiet przygotowywały posiłek z korzeni manioku, który stanowił podstawowe pożywienie Indian Xingu. Obserwując te kobiety przy pracy, Diana przypomniała sobie swoje podejrzenia dotyczące głodujących dzieci i brutalnie traktowanych kobiet i zrobiło jej się głupio. Na terenie tej osady rzeczą niemożliwą było wierzyć w zasadność pomówień Morela.

Szczęśliwe twarze ludzi, którzy ją tu otaczali, przeczyły takim podejrzeniom bardziej przekonywająco, niż mogły to uczynić jakiegokolwiek słowa.

Uśmiechnęła się do indiańskich dzieci i jedna z kobiet dała jej nawet swoje niemowlę na chwilę do potrzymania. Kiedy potem wręczyła to pulchne, gruchające maleństwo matce, podniosła rękę, żeby przygłodzić opadające na czoło loki i kątem oka zauważyła obserwującego ją Piresa. Oczy przesłaniało mu rondo sombrera, ale uśmiech w kącikach ust był o wiele łagodniejszy niż zwykle. Czyżby nieco zmienił swoją surową opinię o niej?

Ruszyli razem dalej, w stronę pól.

— Powiedz mi teraz, seiiorita — odezwał się zwodniczo łagodnym tonem — co myślisz o warunkach życia tutaj, kiedy już widziałas Indian na własne oczy?

Nie bardzo wiedziała, jak odpowiedzieć.

— Indianie wydają się być bardzo szczęśliwi — odrzekła wreszcie.

— Dobrze. — Uśmiechał się ciągle z przekorą. — Jestem zadowolony, że tak myślisz. Ja mogę być... bigotem, ale naprawdę dbam o ich szczęście.

Coś jakby zabłysło między nimi — niczym sygnał świetlany — prawie telepatyczne porozumienie. Ich oczy spotkały się, a Ramon uśmiechnął się serdecznie. To ją oszołomiło.

— Przykro mi, że nazwałam cię bigotem — powiedziała, opanowując się trochę. — Ale jestem zawsze gotowa zmienić swoje opinie, jeśli wiem, że się pomyliłam.

Uśmiechnął się, nie mówiąc już ani słowa. Wyszli z wioski przez pola kukurydzy i fasoli, które zapowiadały dobry urodzaj. Rozmawiał z nią przyjaźnie, aż trudno było uwierzyć, że to ten sam człowiek, który zachowywał się tak prostacko tego ranka i ubiegłej nocy.

Dziwiła się, co się z nim stało, ale wkrótce, gdy zadała niewinne pytanie dotyczące doktora Domingo i jego polityki profilaktycznej, natychmiast wróciła poprzednia wrogość Piresa.

— Tomas jest doskonałym lekarzem — uciął krótko. — Cóż innego mogłabyś usłyszeć!

Był tak wysoki, że musiała patrzeć na niego zadzierając głowę, a słońce raziło ją w oczy.

— Dlaczego... — zaczęła, marszcząc mimo woli brwi. — Czy ktoś twierdził, że nie jest dobrym lekarzem?

— Co ty sobie myślisz? — Rzucił jej zjadliwe spojrzenie. — Czyżby Morel rył także i pod nim podczas waszej przyjacielskiej pogawędki?

— Nie — odparła zirytowana jego złośliwością. — Ale teraz, kiedy poruszyłeś ten temat: czy wiesz, czemu Gil Morel jest tak wrogo nastawiony wobec ciebie?



Zareagował z taką gwałtownością, że zaczęła żałować braku ostrożności.

— Wiem, czemu mnie nienawidzi, ale nie mam zamiaru dyskutować o tym z tobą!

Był w tej chwili tym samym człowiekiem, którego spotkała po wylądowaniu. Ta zmiana uderzyła Dianę nieprzyjemnie.

— Nie musisz zaraz zachowywać się tak niegrzecznie — krzyknęła. — Jeśli zawsze jesteś taki, nie dziwię się, że masz tak złą reputację!

Mężczyzna zatrzymał się, patrząc na nią natarczywie; oczy miał zwężone i zimne.

— Jeśli moja reputacja martwi panią, sefiorita — wycodził wreszcie — radziłbym przemyśleć wścibianie własnego nosa zbyt głęboko w moje sprawy. Choćby tylko ze względu na własne bezpieczeństwo!

Te słowa zaniepokoiły Dianę, ale nie była pewna, czy prawidłowo zrozumiała ich sens. Czy Pires groził jej, czyją ostrzegał?

— Co właściwie ma pan na myśli... — zaczęła.

— Jeśli pani nie rozumie, to lepiej pozostać w nieświadomości! — Patrząc w stronę rzeki, dodał oschle: — Idź do swojego przyjaciela. Jest tam, w dole. Spotkamy się za wsią, przy samochodzie. — I, nie dając jej już żadnej szansy na rozmowę, odwrócił się na pięcie i odszedł.

Nagła zmiana nastroju Piresa była dla dziewczyny szokiem. Kontrast pomiędzy tym, co nastąpiło obecnie, a jego wcześniejszą życzliwością był zbyt ostry. A już myślała, że go polubi! Nawet jeśli jej pytanie zaniepokoiło go — nie powinien zachować się tak gruboskórnie. Jeśli zaś myślał, że mógł ją zniechęcić tak łatwo — przekona się wkrótce, jak bardzo się mylił!

Na brzegu rzeki spotkała Boba. Indiański chłopiec pożegnał się i pobiegł z powrotem do wioski.

— Ten chłopak to bardzo miły dzieciak — stwierdził fotograf. — Bystry, a Piresa wręcz uwielbia... Domyślam się, że ten dziwak nie może być całkiem zły...

— Doprawdy? — Diana czuła się coraz bardziej zdezorientowana. Co było przyczyną gwałtownych ataków Ramona? Może były w nim dwie różne natury?

Tymczasem Pires czekał już na nich, stojąc przy ciężarówce ze skrzyżowanymi rękami i sombrero wciśniętym głęboko na czoło, jak jakiś dziewiętnastowieczny „bandido”. Powitał ich wyniośle, a podczas drogi powrotnej nie odzywał się prawie wcale. „Odwilż” minęła, choć dziewczyna nie domyślała się powodów tej oziębłości. Jeśli Ramon istotnie nie miał nic do ukrycia... Był dla niej teraz, bardziej niż poprzednio, zagadkowy.

Tego wieczoru Diana zjawiła się pierwsza w jadalni, co umożliwiło jej dyskretne przestudiowanie mapy na ścianie pustej jeszcze izby. Była to bardzo dobra, szczegółowa mapa i zaznaczono na niej wyraźnie Ropami, samotnie królujące na szerokiej równinie, w odległości około dwudziestu mil na północny wschód od ich osady.

— Może drinka, miss Taylor? — Ramon Pires wszedł cicho do pokoju. Odniosła niemiłe wrażenie, że obserwował ją już od progu.

— Czego sobie życzysz? — kontynuował, przyjmując jej zgodę jako oczywistą — whisky jak ja, czy wino?

Poprosiła o wino i uświadomiła sobie ze smutkiem, że jego wrogość wobec niej trwa, chociaż teraz zachowywał się uprzejmie. Włosy miał mokre i gładko zaczesane, jakby wziął właśnie prysznic, ale nieforne pasmo opadło mu już na czoło. Zamiast starych dżinsów włożył ciemne spodnie i

luźną, czerwoną koszulę z podwiniętymi rękawami odsłaniającymi jego muskularne ręce.

— Ta mapa powinna przekonać cię, jeśli mnie się to nie udało, że interior jest niedostępny — powiedział, wręczając jej szklanę z winem i usiadł na krawędzi stołu, pociągając swoją whisky.

Diana z trudem powściągnęła złość. Pires nie rozumiał, ile powiedziała jej ta mapa. Roparui nie było wcale niedostępne; Ramon kłamał.

— Musiałeś bywać tam — zauważyła — kiedy odwiedzałeś odległe wioski. — Spojrzała przy tym raz jeszcze na mapę, aby wywnioskować, któredy prowadzi najłatwiejsza droga do celu.

— To zupełnie coś innego. Mam duże doświadczenie.

Jego pyszalkowate samozadowolenie i arogancja doprowadzały dziewczynę do wściekłości, przewyciężyła się jednak i spytała chłodno: — Dlaczego nie zbudowałeś kilku dróg dojazdowych, choćby na wypadek jakiejś katastrofy?

— Wolimy zachować tamte strony niedostępne — odparł obojętnie — co rozumiem jako niedopuszczanie nieproszonych gości na teren Parku.

Podczas gdy Diana gorączkowo szukała stosownej, miążdżącej riposty, on odstawił szklanę, patrząc w stronę drzwi. Właśnie pojawili się w nich Bob i Josita. Sposób, w jaki Bob uśmiechał się do dziewczyny, najwyraźniej rozwścieczył Piresa.

— Niech on lepiej trzyma się z dala od niej! — zawarczał groźnie. — Nie możesz wziąć go w cugle?

Raz jeszcze maniery Piresa sprawiły, że Diana zakipiała. Ten człowiek był nie do zniesienia! „Biedna Josita — pomyślała — jak ona wytrzymuje z tym typem!” Zamierzała

właśnie oświadczyć, że Bob był de facto wolny, kiedy Pires wstał nagle i odszedł do kuchni.

Przy posiłku rozmawiano trochę na tematy kulinarne, jednakże zdawało się, że obecność Piresa przytłacza to małe grono; on zaś siedział ponury i milczący. Domingo był chmurny jak zwykle, a Josita wyjątkowo nierozmowna. Kawa była dobra, lecz ani Pires, ani doktor nie pili więcej niż po jednym kubku. Kiedy jednak wyszli — atmosfera szybko się poprawiła. Felipe przyniósł gitarę i cicho uderzał w struny, a Carlos wyjął talię kart i zaczął się przyjacielski poker.

Przed wyjściem Diana raz jeszcze przyjrzała się uważnie mapie. Ramon nie powiedział jej prawdy. Dostać się do Roparui nie było zbyt trudno. Większą część podróży można było odbyć w górę rzeki na kanu, unikając w ten sposób trudnych do przebycia gęstwin tropikalnych lasów. Rzeka skręcała na północny wschód i rozdzielała się w miejscu, skąd po marszu, który powinien zająć nie więcej niż połowę dnia, dochodziło się do góry — raczej przez otwarte „cerrado” niż dżunglą. Pires umyślnie zatem wprowadził ją w błąd. Dlaczego? Może informacje Boba nie były oszczerstwem — a Morel nie kłamał?

Rozmawiali o tym oboje z Bobem jeszcze tej nocy w swojej chacie, pijąc whisky z dużych szklanek. Hutchkins kopcił cygaro, a Diana — chociaż nie lubiła stęchłego zapachu dymu — rozumiała, że w tej chwili nie ma prawa narzekać. Wiedziała, że Bob był rozczarowany i uznała, że ulgę obojgu przynosi świadomość, że żadne z nich nie jest jednak samotne i że mają wspólne sprawy do omówienia — niezależnie od zachwianej nieco przyjaźni.

Fotograf na wstępie powtórzył Dianie, czego dowiedział się od Josity.

— Ona jest wściekła z powodu arykułów Morela — oznajmił. — Kiedy ją o nie zapytałem, zupełnie straciła zimna krew. Twierdzi, że to są złośliwe kłamstwa.

Dziewczyna uśmiechnęła się krzywo.

— To samo mówił także „Wielki Boss”. — Podniosła ołówek i zaczęła kreślić nim gryzmoły po swoim notesie. — Ale jednego jestem pewna: że Pires oszukuje mnie co do Ropami. Jestem przekonana, że za tym kryje się coś podejrzanego, coś, co on pragnie ukryć przed nami!

— Może chodzi o złoto... Podobnie jak podczas tego strajku, kiedy górnicy odkryli je w Minas Gerais. — Bob zdjął okulary i spojrzał na nią w zamyśleniu. — To jest myśl, no nie?

— Tak\* to prawdopodobne... Nie może wydobywać tego złota teraz, ale jeśli sprzedadzą tę część Parku, wniesie swoje warunki do umowy.

— Sądysz, że może złożyć ofertę, dopóki nikt nie wyniuchał jego odkrycia? Czy to masz na myśli? — Zaciągnął się cygarem, patrząc pytająco na Dianę.

Wzruszyła lekko ramionami.

— Nie sądzę, żeby dysponował dużym kapitałem, ale mógłby zawrzeć korzystną umowę z kimś, kto dysponuje większą gotówką i zapewnić sobie udział w zyskach. Tak czy inaczej, powiuiiśmy koniecznie udać się tam i zobaczyć to miejsce; czy pan Pires życzy sobie tego, czy nie.

— Musimy wymknąć się stąd podczas jego nieobecności, kiedy tylko spuści nas z oczu! — zapalił się Bob, zawsze gotowy do przygód.

— Chętnie! — Odwzajemniła jego uśmiech uradowana tym pomysłem, pomimo niemiłego przeczucia, że Bob będzie odpowiedzialny za efekt tej wyprawy, jak za swój nie istniejący majątek. Umiał wprawdzie być twardy i zawzięty,

ale nie miał żadnego doświadczenia. Oznaczałoby to typową wyprawę do dżungli tropikalnej dwojga białych ludzi — bez odpowiedniego zaplecza, sprzętu i ekipy.

Z tych względów Diana nie przejęła się szczególnie — pomimo zamierzonej wspólnej wędrówki do Ropami — kiedy okazało się nazajutrz, że u Hutchkina wystąpiła paskudna reakcja alergiczna po ukąszeniu przez jakieś insekty. Wyprawa skończyła się dla biedaka wycofaniem się poza moskitiery. Ramiona oraz kark miał czerwone i spuchnięte, a ponadto gorączkował. Domingo traktował go jednak z taką troskliwością, że Diana zmieniła swoją poprzednią negatywną opinię o lekarzu, zwłaszcza gdy zapewnił ją, że stan chorego polepszy się w ciągu paru dni.

Zostawiła więc Boba, zmorzonego gorączką i snem, a sama spędziła czas poznając lepiej wioskę i jej okolice, obserwując i słuchając. Niezależnie jednak od zajęć — czy czytała, czy przygotowywała i segregowała materiały i notatki do swej książki, przyglądała się Indianom lub wypooczywała — nie opuszczały jej myśli o Ramonie Piresie. Pragnęła go zrozumieć.

Kilka grup indiańskich pojawiło się i odeszło podczas następnych dwóch dni. Nie widziała ani razu, żeby traktował tych ludzi inaczej niż z łagodnością i życzliwością. Dlaczego zatem upierał się, aby w stosunku do niej zachowywać się nieprzychylnie?

„Być może człowiek ten jest schizofrenikiem — myślała — albo po prostu mizoginistą”. Ale nawet takie szalone pomysły nie poprawiły jej samopoczucia. Czasami szczerze nienawidziła go, ale wyrzucić z pamięci — nie umiała. Cokolwiek mogła czuć do Boba, wypaliło się to po jednym pocałunku Ramona.

Odkryła ostatnio, że myśli o nim za dużo, obserwując go przy pracy; jej oczy automatycznie przyciąga jego szczupłą sylwetka, ciemna i posępna twarz. Pewnego dnia przyłapał ją niespodziewanie na tym, spoglądając na nią znad skrzynki z narzędziami, jakby sprawdzał, czy odczuwa skruchę; przez chwilę myślała z lękiem, że odgadł jej tajemnicę. Czy domyślał się, jak mocno ją fascynował? Jego zachowanie mówiło coś innego, ku jej uldze i równocześnie przerażeniu.

— Szpieguje się mnie? — zapytał z kpina. — Zdecydowałam już, jak mnie jeszcze sportretować, zanim wyślesz artykuł do „Brasilia Journal”?

Uciekła, nie odpowiadając na tę zaczepkę, zakończoną drwiącym uśmiechem.

Piątego dnia pobytu Diany i Boba, Pires musiał udać się do Barra do Garcas. Zanim opuścił wioskę, dziewczyna zdecydowała się zapytać go ponownie, czy może wyruszyć do Roparui. Dała mu ostatnią szansę okazania rozsądku.

Reakcja była gwałtowna. Pires zaklął siarczyście.

— Nie! Powiedziałem już raz, nie masz uszu? Ta sprawa jest poza dyskusją! W żaden sposób nie możesz tam wyruszyć, podróż całkowicie przekraczałaby twoje możliwości. Do cholery jasnej! Przestań wreszcie prześladować mnie takimi pomysłami!

— Z pewnością mógłbyś przydzielić mi kogoś jako przewodnika — może Felipe...

— Nie, nie mógłbym! — Znowu zaklął ordynarnie. — Nie pojedziesz tam i koniec!

Diana nieraz już staczała zwycięskie bitwy na słowa, ale wyraz oczu Piresa przyprawił ją o dreszcz.

Udała więc, że ustępuje, wzruszając ramionami.

— Okay — zamamrotała ze złością — myślę, że masz rację.

Patrzył na nią w zakłopotaniu, wciskając kapelusz na tył głowy.

— Chryste! Nie mam pojęcia, co z tobą jest! — Zaciśniętą pięść i wałnął w stojącą obok ławkę. — Boże, broń mnie przed natarczywością kobiet! — Spojrzał na Dianę raz jeszcze, potem potrząsnął głową i szybkim krokiem opuścił biuro.

Kiedy już zniknął jej z oczu, uśmiechnęła się złośliwie. Teraz da mu nauczkę. Znajdzie dużo satysfakcji w poniżeniu wielkiego bossa. Mimo wszystko w głębi serca nie wierzyła, że Pires mógł uwikłać się w jakieś nielegalne poszukiwanie złota. Najprawdopodobniej przeszkadzał im i zniechęcał do wyprawy, ponieważ był z natury uparty i despotyczny. Szybko jednak dowie się, jak bardzo jej, Diany, nie doceniał! Dotrze do Roparui; wybierze się tam wkrótce, i to sarna. Już dziś nie mogła wprost doczekać się, żeby zobaczyć jego minę po powrocie. Ramon nazajutrz leci do Barra do Garcas. Gdy samolot wystartuje — ona będzie już w drodze.



## ROZDZIAŁ SZÓSTY

— Nie możesz wyruszyć beze mnie! — krzyknął Bob, kiedy Diana przyszła się pożegnać przed odejściem. — Jesteś szalona! Założmy, że masz rację i że Pires poszukuje nielegalnie złota? Mógł zostawić tam kogoś, żeby strzegł działki...

— Nie jestem głupia — upierała się dziewczyna. — Będę ostrożna, ale nie wierzę już w tę bajkę o złocie. On może być niemiłym, despotycznym facetem, ale nawet wtedy nie wyobrażam go sobie działającego skrycie i podstępnie.

— Zaczekaj, póki nie wyzdrowieję, proszę cię, Di! Może ci się tam coś przytrafić! — Usiłował z wysiłkiem podnieść się i opadł na poduszkę. Był zbyt słaby, żeby dalej protestować.

— Wiesz, że muszę już iść, póki Pires jest daleko; to jedyna szansa jaką mamy. Nie jestem głupia i znam ten kraj. Nie martw się, będę z powrotem, zanim zjawi się tu Pires.

— A co będzie, jeśli tej nocy zauważy twoją nieobecność?

— Postaraj się blefować; powiedz mu, że czuję się marnie i już się położyłam.

— A jeśli wróci wcześniej? — pytał Bob słabym głosem.

— Na litość boską, nie mów mu, dokąd poszłam. Powiedz, że poszłam w dół rzeki, na camping!

— Wiesz, czemu jesteś tak cholernie uparta? — zdenerwował się. — Dlatego, że chcesz, żeby Pires z tobą przegrał.

— Tak — zaśmiała się Diana. — To mu dobrze zrobi.

Potem opuściła chatę i odpłynęła, pełna dobrej myśli, wypożyczonym kanu. Oczywiście, coś strasznego mogło się zdarzyć — ukąszenie węża lub złamanie nogi — ale jej zdaniem nie powinno się iść przez życie myśląc o najgorszym. Ryzyko jest za każdym razem, kiedy przechodzi się przez ulicę, ale mało kto myśli o tym. „W końcu szanse przejechania kogoś przez samochód są w tej okolicy zerowe — pomyślała pogodnie — zwłaszcza na rzece...” Mapę znała na pamięć, zaopatrzyła się przezornie w kompas i duży zapas prowiantu, a małe obawy, jakie mogła żywić, wzmacniały tylko urok tej przygody.

Nikt nie zauważył jej, gdy odbijała od brzegu w czasie sjeisty. Wiosłowanie w górę rzeki przez resztę dnia, bez żadnych niemiłych incydentów, przyniosło mnóstwo wspańniętych wrażeń, Widziała ibisy — czarne, białe i szare, które wzbijały się z szumem w powietrze, spłoszone widokiem łodzi; aligatory z szaro-zielonymi, wystającymi nosami, a raz nawet uciekającego tapira. Diana płynęła w błogiej ciszy, przerywanej tylko szczebiotem ptaków i szmerem wody. Wysokie drzewa po obu brzegach rzeki wyglądały jak wyniosłe, migocące zielenią ściany. Lekka bryza poruszała delikatnie gałęziami.

Z nadejściem zmierzchu zaczęła rozglądać się za jakimś miejscem, które nadawałoby się na camping. Ciemność szybko zapadała, toteż zdecydowała się rozbić obóz za zakrętem rzeki, gdzie dostrzegła na brzegu białą plamę piasku. Rozwinęła hamak i złowiła kilka rybek na wędkę. Czuła się cudownie, smażąc je na kolację.

Siedziała potem jeszcze długo, obejmując ramionami kolana i wpatrując się w rzekę. Nie czuła żadnego lęku, tylko głęboki spokój. Usnęła myśląc, że Bob przesadzał, martwiąc się o nią tak bardzo.

Następnego ranka wiosłowała nadal z zapalem i w ciągu godziny osiągnęła punkt, w którym rzeka rozdzielała się. Oznaczało to miejsce, w którym powinna wysiąść z kanu. Pozostawiła je więc ukryte na brzegu rzeki między drzewami, a sama wyruszyła w stronę lasu.

Tego etapu podróży obawiała się najbardziej. Musiała teraz pieszo przedzierać się przez płataninę gałęzi i korzeni pokrytych mułem w czasie powodzi, zgniłych i śliskich. Im dalej w głąb dżungli posuwała się Diana, tym więcej martwych drzew stanowiło część scenerii. Leżały gnijąc na ziemi lub pochylone pod dziwnym kątem tam, gdzie ich upadek zatrzymany został przez inne, jeszcze żyjące drzewo. Było tam ciemno i gorąco, a słońce gdzieniegdzie tylko przeświecało przez drżący baldachim liści.

Parokrotnie otarła się nieomal o gniazda termitów zwisające z drzew jak groteskowe kosze na kwiaty. Termity żyły także na ziemi, w ogromnych kopułach, wyższych niż przeciętny mężczyzna. Diana zaczęła już ulegać powoli klaustrofobii i tylko świadomość, że zgodnie z jej obliczeniami zarośla cerrado leżą niedaleko przed nią, powstrzymała ją od paniki.

Ku swojej ogromnej uldze nie myliła się. Po niecałej godzinie drzewa zaczęły się przerzedzać, światło stało się intensywniejsze i nagle znalazła się na otwartej przestrzeni. Przed nią widniały zarośla cerrado, tworzące krzaczasty krajobraz, charakterystyczny zarówno dla Mato Grosso, jak i dla lasu tropikalnego.

Był to dziwny, niesamowity pejzaż, z drzewami z rzadka rosnącymi w gęszczu mniejszych, szerokich krzaków.

To, co widziała, przypominało Dianie zdziczałe doliny, gdzie głóg i wiecznie zielone kolczaste krzewy z żółtymi kwiatkami zaczynały wypierać inne rośliny, ale po paru

krokach zrozumiała, że to było tylko złudzenie. Wszędzie widziała teraz wyraźnie gęsto rozsiane gniazda termitów, ziemia była sucha i gorąca pod jej stopami, a widok dookoła był taki sam: ani śladu człowieka, jak wzrokiem sięgnąć...

Spojrzała na północ — i ponad mgłą zobaczyła szczyt Ropami. Wezbrało w niej radosne podniecenie, gdy zrozumiała, że po forsownym marszu powinna wczesnym popołudniem dotrzeć do celu, oddalonego już tylko o milę.

Temperatura ciągle wzrastała, ale koniec wędrówki był już bliski. Widok szczytu dodał jej siły, ale ruszyła naprzód ostrożnie. Jeśli, mimo wszystko, byli tam poszukiwacze złota — to ostatnią rzeczą, której pragnęła, było spotkanie z nimi. Jej plan polegał na tym, żeby dotrzeć do podnóża góry na bezpieczną odległość i upewnić się, czy w pobliżu znajdują się jacyś ludzie.

Trzeba było znaleźć dowód na ewentualną obecność obcych, choćby zauważyć tylko dym lub ślady ogniska. Jeśli nic podejrzanego nie uda się dostrzec, Diana postanowiła przyjrzeć się bliżej okolicy i sfotografować wnętrze grot.

Pomimo wysiłków skupienia uwagi, dziewczyna łapała się na tym, że jej myśli krążą wyłącznie wokół Ramona. Była pewna, że nie znajdzie tu niczego podejrzanego, ponieważ wierzyła, że Vincente mówił prawdę o Piresie. Morel nie napisał niczego oprócz kłamstw. Nie mogła winić Ramona za taką podejrzliwość wobec niej, skoro prawdą była jej nieufność i gotowość do przyjmowania jako prawdy wszystkich najgorszych oszczerstw. Wzdychała ciężko wspominając, że pewnego dnia Ramon jakby zapomniał o swoich uprzedzeniach i lody między nimi zaczynały już topnieć. Trwało to krótko z jej winy. Był między nimi moment wzajemnego zrozumienia i przecucia, że może

zdarzyć się coś szczególnego — a wtedy on wszystko to zniszczył...

Była wtedy na niego wściekła, ale teraz czuła tylko żal i tęsknotę za tym, co mogło się stać. „Było to naiwne — mówiła sama do siebie — ponieważ nie istniał żaden punkt zaczepienia, Ramon był typowym „macho”. To nie był ten typ mężczyzny, jakiego szukała...”

Posuwała się ostrożnie skrajem lasu pod koronami drzew graniczącymi ze zboczem góry, wypatrując skalnego występu pokrytego zaroślami, który dałby jej idealny punkt widokowy. Chciała obserwować górę z ukrycia, będąc niewidoczną dla obcych oczu. Nie dostrzegła dotychczas żadnego ruchu ani śladów życia. Wszystko było w porządku.

Wtedy spotkała mężczyznę. Zbudowany jak zapaśnik wagi ciężkiej, o masywnych ramionach i nabrzmiątych bicepsach: ten typ człowieka, do którego czuje się natychmiast niechęć; z małymi, świńskimi oczyma i obleśną gębą. Miał karabin przerzucony przez ramię, jego reakcja na widok dziewczyny w żadnym razie nie była przyjazna.

— Kim jesteś? — warknął, ściągając broń z ramienia i mierząc do dziewczyny. Obrzucił ją spojrzeniem z góry na dół ze zdumieniem i pożądaniem zarazem.

Sposób, w jaki patrzył na nią błyszczącymi oczyma, powinien ją przerazić. Była tak zszokowana, że uczepiła się jednej myśli: wzywać pomocy! Ależ to bez sensu!

Rzeczywiście był to pech, że ten goryl opuścił kryjówkę wysoko w górze i wędrował w dół pomiędzy skałami. Z jego twarzy można było jasno wnioskować, że nie mógł wprost uwierzyć w swoje szczęście — i Dianą owładnął paniczny strach.

— Co robisz tutaj? — zamruczał. — Skąd przylazłaś?

Przełknęła ślinę, rozumiejąc, że jakiegokolwiek kłamstwo nie na wiele jej się teraz przyda.

— Z Aldeia Cruz — odpowiedziała drżącym głosem.

— Aha... ta wścibska Angielka! — zachichotał. — Słyszeliśmy o tobie. — Zmrużył oczy i rozejrzał się dookoła. — Gdzie jest twój przyjaciel, ten jankes?

— Nie przyjechał ze mną.

— Ktoś iiuiy jest z tobą?

— Nikt... — zaprzeczyła cicho.

— Dość tego! — Złapał dziewczynę za ramię, wpijając brutalnie palce w jej skórę. Wykręcił jej rękę do tyłu w bolesnym uchwycie. — Okłamujesz mnie!

— Nie! Naprawdę — wykrztusiła powstrzymując łzy. — Przyszłam sama i nikt nie wie, że tu jestem.

Gapił się na nią ze zdumieniem, a potem przekonany, zaśmiał się z ulgą.

— To było bardzo głupie z twojej strony, sefiorita... Ru-szaj! — rozkazał jej.

Nie miała innego wyjścia, jak usłuchać go. Szli między skałami. Kiedy potknęła się, szturchnął ją mocno lufą i ponaglił. Dotarli wreszcie do wąskiej szczeliny w skałach, chronionej z trzech stron przez wysokie ściany.

— Wystarczy. — Pchnął Dianę w stronę wąskiego wejścia, a potem, zawieszając znów swoją broń na ramieniu, rzucił się na nią. Cofnęła się. Napastnik przycisnął ją do skały i trzymał mocno. Czuła bijący od niego odór kwaśnego potu i nieświeży oddech.

Jego usta pożerały jej wargi, a ręce zdzierały ubranie. Walczyła jak szalona, kopiąc dziko i usiłując wycelować kolanem w krocze atakującego ją mężczyzny.

— Kurwa! — zaklął i uderzył Dianę z całej siły w twarz. Poczwała, że mdleje.

I wtedy mężczyzna odwrócił się gwałtownie, odrzucając ją na bok — ktoś skoczył na niego z tyłu.

Był to Ramon, Ramon Pires.

W pierwszej chwili dziewczyna była zbyt oszołomiona, by wierzyć własnym oczom, dopiero potem zrozumiała, że to prawda. Skąd przybył i jakim cudem zjawił się w samą porę — nie miała pojęcia, ale nie był to czas na rozmyślania; obaj mężczyźni trzymali się za gardła. Ojej obecności żaden z nich nie wydawał się pamiętać. Twarz Ramona przypominała maskę furiata, gdy desperacko walczył. W ręce trzymał nóż, ale nie mógł zdobyć przewagi nad przeciwnikiem, który ważył zapewne ponad sto kilogramów i miał siłę atlety. Jak zapaśnik japoński w walce sumo, masą ciała górował nad Piresem.

Powoli Ramon przegrywał. Tamten uchwycił jego przegub w żelazne kleszcze i przeginał go do tyłu tak długo, dopóki Pires nie potknął się i nie stracił równowagi. Wtedy ciężkim ciosem w żołądek został powalony, a padając — uderzył głową o duży kamień i stracił przytomność. Z jego zwiotczałych palców wysunął się nóż. Zwycięzca klęknął i podniósł go. Potem odwrócił głowę pokonanego i przechylił w ten sposób, aby odsłonić jego gardło. O obecności dziewczyny jakby zupełnie zapomniał.

— Nie! — Diana nie była potem pewna, czy to ona krzyknęła rzeczywiście, czy był to dramatyczny głos wewnętrzny protestu. Krew uderzyła jej do głowy.

W jaki sposób tego dokonała — nie pamiętała. Wściekłość musiała dać jej nieprawdopodobną siłę. Bez namysłu uniosła najcięższy kamień, jaki znalazła i rzuciła się na mężczyznę, miażdżąc mu głowę. Martwe ciało stoczyło się bezwładnie i zatrzymało obok nieruchomo leżącego Piresa. Diana stała nad nim chwiejąc się, zszokowana. Zmasakro-

wała czaszkę prześladowcy; wiedziała, że go zabiła. Nie zamierzała tego zrobić, chciała go tylko powstrzymać. Drżąc nerwowo podeszła do miejsca, gdzie leżał Ramon. Ukłękła obok niego i zaczęła się żarliwie modlić. Jego włosy zlepione były krwią, która sączyła się z rany na czole; ta krew pozostała na jej ręce, kiedy go dotknęła i pomyślała, że zaraz dostanie torsji. Ale on żył! To było widoczne.

Sięgnęła po plecak i grzebała w nim, dopóki nie znalazła pakietu ze środkami pierwszej pomocy. Słyszając jęk odwróciła się, ale ranny nie odzyskał jeszcze przytomności. Niezdarnie przycisnęła tampon do jego czoła, a potem udało jej się jakoś zabandażować mu głowę.

Diana ujęła delikatnie przegub bezwładnej ręki Ramona; puls był przyspieszony, ale mocny. Nic więcej nie mogła zrobić!

Odwróciła się od ciała leżącego obok nich mężczyzny, dręczona torsjami. Nie miała pojęcia, kim on był i czy nie miał jakichś kompanów w pobliżu. Nie wiedziała też, po co przybył tu Ramon, miał być przecież w Barra do Garcas! Czy nie był — mimo wszystko — zamieszany w jakąś aferę? Fakt, że zdążył uratować ją przed gwałtem, wcale nie dowodził jego niewinności, mógł znaczyć także to, że chciał jej wyłącznie dla siebie...

Domysły te przeraziły ją. Bardziej niż czegokolwiek innego pragnęła teraz uciec stąd daleko. Nie mogła jednak opuścić Ramona. To on wyrwał ją z ramion napastnika, a wspomnienie jego pocałunku trwało w pamięci dziewczyny. Kiedy ją całował, lam — na brzegu rzeki, była rozgniewana, ale nie odrzuciła go. I bez względu na wszystko — nie może go teraz porzucić.

Siedziała więc, drżąca i samotna, przerażona koszmarem nocnego czuwania.



Co zrobi, jeśli Ramon nie odzyska wkrótce świadomości? Ile czasu upłynie, zanim ktoś zacznie szukać zabitego bandyty?

Tymczasem, w popołudniowym już upale, roje much kołowały nad zwłokami, bzyząc natrętnie. Pragnęła odciągnąć Ramona dalej, ale to zadanie przekraczało jej siły.

Bandaż był już przemoczony i dziewczyna zastąpiła go nowym opatrunkiem, przyciskając mocno świeży tampon do rany. Potem oparła głowę Ramona na swoich kolanach i założyła starannie nowy bandaż. Jego twarz była ściągnięta bólem i blada, ale oddech wydawał się regularny. Przyglądała się mu: zdecydowanym rysom twarzy, orlemu nosowi, pełnym ustom, ciemnym brwiom i ciężkim powiekom o długich, gęstych rzęsach, ciemniejszych teraz na tle nienaturalnie białej, niż zazwyczaj, cery. Nie, Pires nie był piękny, nie miał nawet imponującej postawy, a jednak był niezwykle atrakcyjny.

Siedziała oszołomiona własnymi uczuciami. O czym myślała? Czy była tak głupia, aby wierzyć, że twarz jest zwierciadłem duszy? Diabeł też mógł być ponętny...

Ujęła jego głowę w swe dłonie, by ułożyć go niżej i w tej chwili Pires otworzył oczy. Wpatrywał się w jej twarz przez chwilę. Jęknął; potem potrząsając głową i mrugając oczami usiłował usiąść, pomimo protestów Diany.

— Co się stało? — zapytał wolno grubym głosem. Nagle zobaczył ciato tamtego mężczyzny koło siebie i odwrócił głowę, patrząc na nią z niedowierzaniem. — To twoje dzieło? — I dziwny uśmiech pojawił się na jego twarzy.

— Tak. — Jej głos drżał. — Uderzyłam go odłamkiem skały. Ja nie zamierałam... zabić go.

— Nie cierpiałbym z tego powodu na bezsenność—rzekł.  
— Zasłużył na to. — Potem uśmiechnął się pogodnie, choć widać było w jego oczach ból.

W tym właśnie momencie Diana wiedziała już, że był całkowicie niewinny, a zarzuty przeciw niemu były po prostu oszczerstwami. Nigdy nie widziała u niego takiego uśmiechu. Twarz zmieniła mu się — wyglądał młodziej i łagodniej.

— Przybyłem tu, żeby zapewnić ci dobrą kryjówkę, ale zdaje się, że to ja jestem ci winien trochę wdzięczności. Bez twojej bystrości umysłu nie ciało tego osiłka, lecz moje stałoby się atrakcją dla much. — Z uśmiechem wyciągnął do niej rękę. — Como se di? Jak wy mówicie? — Jesteśmy teraz kwita?

Diana skoczyła nagle na równe nogi. Na wzmiankę o muchach poczuła nawrót torsji.

— Przykro mi! — wyjąkała, a potem, potykając się zniknęła za pobliskim drzewem.

## ROZDZIAŁ SIÓDMY

Gdy wróciła, Pires stał wyprostowany, chwiejąc się lekko.

— Musimy stąd odejść, ale najpierw trzeba ukryć... jego.

Udało im się jakoś zaciągnąć ciało w chaszczę i przykryć trawą i liśćmi. Ramon, chociaż wyglądał bardzo źle, nalegał, żeby odejść stąd niezwłocznie.

— Jeśli oni nas znajdą, odpłacą nam tym samym — powiedział.

Cokolwiek miał na myśli i kimkolwiek byli „oni”, nie było czasu na sprzeczkę. Tak więc Pires podniósł karabin i odszukał paczkę, którą schował przychodząc tutaj. Jego twarz była szara i poruszał się tak niepewnie, że Diana obawiała się, iż może ponownie stracić przytomność.

— Nie zostawiaj żadnych śladów! — polecił jej. Mówił z wysiłkiem, prowadząc dziewczynę w kierunku wschodnim, a nie w stronę rzeki. — Jeśli oni znajdą ciało, to będą szukali tropu, kierując się ku rzece. Tak długo, jak długo nie zostawimy czegoś, co wyprowadziłoby ich z błędu...

Biorąc do serca to ostrzeżenie, Diana starała się nie pozostawiać śladów stóp ani zdeptanych traw lub gałązek. Jakim cudem Ramon dotrzymywał jej kroku — nie miała pojęcia; jeśli ona czuła się słabo po tych przeżyciach — to on musiał cierpieć dziesięć razy bardziej, ale nie chciał zatrzymywać się na postój, dopóki nie będą mieli za sobą kilku godzin marszu.

Przeszli już zarośla karłowatych krzewów i wkroczyli w gęsty las. Pires znał chyba drogę, choć przeważnie szli po zatartych śladach lub po leśnych przecinkach pomiędzy drzewami, których nikt nie mógłby nazwać ścieżkami. Kiedy wreszcie zdecydował się na odpoczynek, zaprowadził Dianę głęboko w coś, co wyglądało na nieprzebytą gęstwinę. Szedł przodem, a ona wydeptywała swoją dróżkę, drecząc za nim. Za nimi pozostała bariera w postaci gęstych bambusów. Wreszcie wynurzyli się na małą polankę, gdzie słońce, padając skośnie pomiędzy pnie drzew, tańczyło wśród cieni liści. Zamiast w obezwładniającym upale, zmęczeniu wędrowcy woleliby teraz znaleźć się raczej na chłodnej polanie w północnym lesie.

— To powinno wystarczyć; nawet jeśli oni idą za nami, nigdy nie przedrą się aż tutaj. — Ramon zrzucił z ramion paczkę niepewnym ruchem i przyłożył rękę do głowy. Wyglądał upiornie, na twarzy wystąpiły mu czerwone plamy. Trząśł się i ledwie trzymał na nogach.

— Siadź — zawołała Diana. — Pozwól sobie pomóc...

Wyciągnął do niej rękę, żeby utrzymać równowagę, ale potem osunął się na ziemię, wtulając głowę w ramiona. — Czy możesz dać mi trochę wody? — zapytał chrapliwie. — Jest w mojej paczce.

Podawała mu wodę i dwie aspiryny, znalezione także w paczce. Pił chciwie prosto z flaszki, potem zakręcił mocno korek i połknął lekarstwo. Wyczerpany tym, znów oparł głowę na rękach, siedząc z podkurczonymi nogami.

Diana usiadła także, zbyt słaba, żeby opędzać się skutecznie od much, które otaczały ją rojem i gryzły niemiłosiernie.

— Może powinieneś przespać się — zaproponowała nieśmiało — jeśli możesz.

Podniósł głowę mrugając oczyma. Spojrzenie miał tępe i zamglone, jakby z trudem uświadamiał sobie jej obecność.

— Może — jęknął. — Boże, jak mnie boli głowa! Byłem głupcem, biorąc się do niego w taki sposób, mógł zabić nas oboje! — Utkwił wzrok w dziewczynie. — Kiedy zobaczyłem cię... wszystko stało się nieważne...

Zmarszczył czoło, widocznie przypomniał sobie coś. Patrzył teraz na jej podartą bluzkę. Kilka guzików odpadło podczas walki z napastnikiem, reszta ledwo się trzymała — Ramon umiał patrzeć i widzieć więcej niż powinien. Obciągnęła ciasno materiał na ciele. Jego oczy zapłonęły gniewem.

— Co się stało, on cię nie...?

Zamilkł z grymasem bólu na twarzy.

— Nie — zapewniła szybko. — Walczyłam z nim, ale był zbyt silny. Usiłowałam kopnąć go tam, gdzie najbardziej boli, ale on mnie powstrzymał...

Pires mimo bólu zaśmiał się cicho.

— Masz dużo odwagi i jesteś twardym wojownikiem, nikt temu nie zaprzeczy, moja droga. — W jego oczach pojawiły się iskierki. — Ale mnie nie kopałaś, kiedy ja... próbowałem tego ranka na brzegu rzeki, czyż nie?

Mówił ochryple, powieki zaczęły mu opadać sennie.

— Dlaczego wtedy nie...?

Ostatnie słowa wymamrotał niewyraźnie; przytomność opuściła go i pochylił się na bok w stronę Diany. Całym ciężarem ciała oparł się bezwiednie o nią i z wielką trudnością udało się jej ułożyć go w wygodnej pozycji na ziemi. Na ciele mężczyzny nie było ani uncji zbędnego tłuszczu, ale liczył sporo ponad sześć stóp wzrostu i musiał ważyć około siedemdziesięciu pięciu kilogramów. Teraz bezwładne ciało ważyło co najmniej dwa razy tyle.

Podsunięła mu pod głowę prowizoryczną poduszkę z ręcznika. Nie była ona zbyt wygodna, ale zawsze lepsze coś niż nic.

Pomimo gorąca Ramon miał dreszcze, więc Diana przykryła go śpiworem. Zrobiwszy to wszystko, zaczęła szperać w swoich rzeczach, poszukując zapasowej koszuli. Przebrała się szybko w śmiesznej obawie, że Pires mógłby ją zobaczyć w negliżu. Znalazła kubek i wreszcie napiła się wody, której zostało niedużo w dwóch butelkach. Co będzie, jeśli Ramon nie odzyska wkrótce sił i woda się skończy — nie wiedziała. Po tym wszystkim, co się ostatnio zdarzyło, nie była pewna, którędy wraca się do rzeki — nawet, gdyby czuła się na siłach.

Żywności mieli jeszcze dość dużo, co prawda, mało apetycznej, ale nie była głodna. Siedziała więc cicho u postania Ramona, obejmując rękami kolana i starając się zapomnieć o swych obawach. W zaroślach polanki cykady i pasikoniki muzykowały bez przerwy, podczas gdy łagodny wiatr poruszał liśćmi. Ptaki śpiewały i przelatywały nad jej głową z drzewa na drzewo. Kiedy indziej zapewne zachwycałyby się ich barwnym upierzeniem i pięknymi głosami, ale teraz była nieczuła na piękno natury. Wszystko, o czym mogła myśleć, sprowadzało się do goryczy i złości na własną głupotę.

Kim był zabity, skąd Ramon wiedział, gdzie była — nic nie znaczyło. Faktem było to, że o mały włos doprowadziłyby do śmierci obu mężczyzn. Nie powinna była absolutnie wyruszać! Jeśli Pires umrze — będzie to jej i tylko jej winą. Siedziała tak przy nim godzina po godzinie, pogrążona w samotnym czuwaniu, dopóki nie stwierdziła, że zna rysy jego twarzy na pamięć. W pewnej chwili zauważyła, że stan Ramona zmienił się: z nieświadomości zapadł w sen. Jego oddech stał się głębszy, puls wolniejszy. Wtedy dopiero odczuła własne wyczerpanie. Przyniosła więc swój śpiwór i

wpełzła do środka, kładąc się w pobliżu Piresa. Nie zwracając uwagi na mrówki, gryzące owady i zimną, twardą ziemię — obolała i udręczona czarnymi myślami — zasnęła.

Obudziła się nagle o świcie, zdrętwiała, spocona i zmęczona, pokłuta na całym ciele żądłami insektów. Szaleństwem było spać na gołej ziemi, skoro jej hamak tkwił w paczce — ale chciała być blisko Ramona, a niemożliwe było dla niej umieścić jego bezwładne ciało w hamaku! Poprzez liście drzew zaczęły przedostawać się pierwsze promienie słońca, a ptaki podniosły rytualny wrzask na powitanie dnia. Pamięć wróciła jej błyskawicznie, gdy tylko otworzyła oczy i zobaczyła Ramona leżącego blisko, bardzo cichego.

Jej serce zamarło. Wyciągnęła rękę i dotknęła jego ramienia. Westchnęła z ulgą, gdy Ramon poruszył się i podniósł na łokciach. Twarz miał nadal ściągniętą i bladą, ale spojrzenie miał przytomne.

— Boże! — rzekł ze zdziwieniem, patrząc na Dianę. — Jak długo mnie tu nie było?

— Od wczorajszego popołudnia.

Zmienił znów swą pozycję, siadając ze stłumionym jękiem. Potarł ręką zarośnięty podbródek. Dotknął potem delikatnie bandaża i głowy, wyczuwając pod palcami plamę zakrzepłej krwi. Usta wykrzywił mu grymas niesmaku.

— To naucz mnie, żeby w przyszłości unikać herosów — wyszeptał. — Zostawię te sprawy w przyszłości wyłącznie tobie.

Zaczerwieniła się.

— Nie poszło mi zbyt dobrze, także w moich własnych sprawach.

— Masz rację, ale być może dobrze się stało, że przyłapałem cię w porę.

Dziewczyna wzdrygnęła się na to wspomnienie, ale spytała cicho: — Szukałeś mnie? Ale... czemu?

Podniósł brwi zdziwiony.

— Czy to nie oczywiste? Mój Boże, kiedy zrozumiałem, dokąd prowadzi twój ślad, krew zastygła mi w żyłach! Gdybyś zawędrowała jeszcze dalej, byłbym całkowicie bezsilny i niezdolny cię uratować. A i tak trudno uznać mnie za zwycięzcę. Ale co sprawiło, że wyruszyłaś tu zupełnie sama?

— Skąd wiedziałeś, dokąd się wybrałam? — zapytała ciekawa, jak wywiązał się ze swojej roli Bob. — Prosiłam Boba, żeby mówił, że poszłam na camping w dole rzeki!

— Tak, wiem o tym. — Uśmiechnął się gorzko, ale z odrobiną uznania. — Możesz być wdzięczna, że nie uwierzyłem w tę bajkę. Kiedy już ustaliłem, gdzie ulokowałaś kanu, podążanie twoim śladem było łatwe. Jestem bardzo doświadczonym tropicielem.

— Nie mogę powiedzieć, że mi z tego powodu przykro — przyznała potulnie Diana. — A czemu nie byłeś w Barra do Garcas?

— Byłem — odpowiedział, masując kark. — Jose zawiadomił mnie, kiedy tylko zniknęłaś. Wróciłem od razu i wzięłem się zaraz za Boba; ostatecznie przekonałem go i powiedział mi, dokąd wyruszyłaś.

— Skąd wiedziałeś, że będę w niebezpieczeństwie? Kto... Kim był ten goryl?

— Przemynikiem narkotyków, jednym z członków gangu, który ma tu, na górze, bazę.

— Och! — zadrżała. — Skąd to wiesz?

— Powiedzmy, że natknąłem się na nich pewnego dnia przypadkiem, tak jak ty, chociaż mnie, na szczęście, udało się wycofać niepostrzeżenie.

— Jak długo oni tam są?



— Około trzech miesięcy. Jaskinie są zapchane kokainą; zamienili górę w gigantyczny dom towarowy. Nikt tam nigdy nie zaglądał — idealna kryjówka!

Diana zrozumiała. Narkotyki! Oboje z Bobem powinni byli spaść na to, zamiast fantazjować na temat złota!

Ramon mówił dalej.

— Skontaktowałem się z policją i to oni poprosili mnie, żebym zachował milczenie, bo chcieli przyłapać szefów gangu. Dlatego dwa dni temu pojechałem do Barra do Garcas. Policja ma wkrótce zjawić się w górach i będzie potrzebowała mojej pomocy. Tak więc teraz chyba rozumiesz, czemu nie chciałem, żebyście ty i twój kumpel weszli tam. Za żadną cenę tego nie chciałem. Mogliście zepsuć wszystko, nieświadomie.

— Przykro mi — powiedziała. — Ale myśleliśmy, że ty... podejrzewaliśmy...

— Myślałaś, że to ja organizowałem tam coś?

— No, coś w tym rodzaju. — Pokiwała głową zakłopotana.

— Myślałaś, że co tam na górze robię? Prowadzę burdel?

— Nie! — Zerwała źdźbło trawy i skręcała je w palcach. — Ale bardzo chciałam pojechać tam i rzucić okiem...

— Właśnie wtedy, gdy mnie nie było?

Uśmiechnął się, ale nagle skurcz bólu sprawił, że zamknął oczy i zacisnął pięści. Kiedy je po chwili rozprostował, były przerażająco białe.

Diana nieśmiało wyciągnęła rękę, chcąc dotknąć go, ale coś ją powstrzymało i ręka opadła jej niezgrabnie na kolana.

— Nie powinieneś rozmawiać, musisz odpoczywać.

— Już w porządku. — Wciągnął powoli, głęboko powietrze i przełknął ślinę. — To przychodzi i mija — zauważył, uśmiechając się kwaśno. Potem skrzywił się i zaczął pocierać ręką podbródek. — Powiedziałaś wczoraj, że on, tamten

mężczyzna, nie wyrządził ci żadnej krzywdy? Czy to prawda? Czy dobrze słyszałem? Ten ból w głowie sprawia, że wszystko mi się płące.

— Tak. Nie zdażył, dzięki Bogu. — Zaśmiała się krótko, zmieszana. — Ale jestem ci wdzięczna, że nadszedłeś w samą porę.

— Powinienem czuć się zaszczycony twoim uznaniem — rzekł Ramon, rzucając jej badawcze spojrzenie — zważywszy wcześniejszą opinię, jaką wyrobiłaś sobie o mnie.

Twarz Diany pokryła się rumieńcem. -

— Przepraszam cię, ale słyszeliśmy... to znaczy... mieliśmy różne informacje i to właśnie sprawiło, że uwierzyliśmy, jakoby tu działo się coś złego. I Morel... — Urwała, a potem zwróciła na niego zawstydzone oczy. — Powiedziałaś mi, że wiesz, dlaczego on mówił takie... rzeczy o tobie. Nie chcesz powiedzieć mi teraz?

, Wzruszył ramionami.

— Morel został tu nasłany, stoją za nim ludzie sprzymierzeni z gangiem. Gdyby mogli mnie się pozbyć i usadzić jednego ze swoich ludzi w Parku jako menedżera, ich operacje byłyby znacznie bezpieczniejsze. Możliwe, że Morel nie zdaje sobie sprawy, do czego został użyty. Ale teraz, przy odrobinie szczęścia, wszyscy zostaną ujęci — szefowie i cała reszta przemytników.

Spojrzał ponuro na Dianę.

— Miejmy nadzieję, że żaden z nich nie wywinie się na wolność z tej pułapki. — Po chwili milczenia dodał: — A jednak miałem rację, przynajmniej częściowo, kiedy oskarżałem cię, że przybyłaś tu, żeby mnie szpiegować? — Podniósł brew pytająco. — Twój Bob przyznał, że nie jesteś takim niewiniątkiem, na jakie wyglądasz. Myślałem, że bre-

dzi w gorączce, ale wkrótce odkryłem, że mówił prawdę. Kim jesteś? Agentką wywiadu?

— Nie, oczywiście, że nie. — Kpiny Ramona bolały ją i taki był niewątpliwie jego zamiar. — Ale spędziłam ubiegły rok w dżungli jako członek wyprawy naukowej.

Ramon zaklął cicho.

— Zrobiłaś ze mnie głupca, no nie? Nie miałem pojęcia... Ale jeśli tak, to nie przyszło ci do głowy, że samotna wyprawa w te strony musi być szalenie niebezpieczna?

— Nie! — Nie potrzebowała jego krytyki, sama czuła się przygnębiona. Fakt, że miał słuszność, pogarszał tylko jej samopoczucie. — Skąd miałam wiedzieć, że aż tak niebezpieczna? Nie powiedziałeś mi prawdy!

— Na litość boską! — Nagle obrócił dłonią jej twarz ku sobie. — Powinnaś mieć więcej rozsądku — wykrzyknął. — Nigdy nie pozwoliłbym ci postawić stopy na tej ziemi! Powinienem być odesłać cię z powrotem tym samolotem, którym przyleciałaś, tego samego dnia!

— Puść, to boli! — Jego palce wpijały się w policzki przerażonej Diany. Znowu przestawała mu ufać i czuła się niepewnie. Pamięć napaści na nią tamtego mężczyzny była zbyt świeża. Ze wstydem poczuła, że po jej policzku spływa łza. Upokorzona chciała wycofać się, ale Ramon nie pozwolił jej odejść. Oddychał nieregularnie, ale był wciąż silniejszy od Diany. Klnąc po portugalsku, przeproszał ją z twarzą zmienioną skruchą i żalem.

— Nie płacz, przepraszam, daruj mi!

Wziął ją w ramiona. Przytulając dziewczynę całował jej oczy, ocierając łzy drżącymi palcami. — Przebac mi! — powtarzał błagalnie. — Nie chciałem cię urazić. I byłem niesprawiedliwy, miałaś rację; nie mogłaś wiedzieć o przemyślnikach. Wybacz mi, proszę, mam piekielnie gwałtowny

charakter, a ten cios w głowę wcale nie pomaga mi w tej sytuacji.

Dianę ogarnęło wielkie znużenie. Położyła głowę na piersi Ramona, a on delikatnie gładził jej włosy. Słyszała bicie jego serca przez cienki materiał koszuli. Chciała, żeby ją mocniej przytulił, pocałował namiętnie w usta, ale poraziła ją nieśmiałość odbierająca wszelką inicjatywę.

— Lepiej? — zapytał nagle z uśmiechem, opuszczając rękę, którą tak czule głąaskał jej włosy.

— Tak. — Jej zmysły znajdowały się w stanie rozstroju. Tak bardzo go pragnęła! Było to coś w rodzaju obsesji, szaleństwa, nigdy przedtem nie doznała takiego uczucia wobec żadnego mężczyzny. Nie patrząc mu w oczy powiedziała: — Mnie też jest przykro... miałeś słuszność. To ja byłam głupia, mogliśmy oboje zostać zabici.

— Zwariowana dziewczyna. — Uśmiechnął się Ramon. — Ale prawdą jest, że nie wiedziałeś, co się tu rozgrywało, a ja nie powinienem cię za to winić. Cieszymy się, że uszliśmy z życiem.

Słońce nie wzeszło jeszcze wysoko i chłód przenikał ciało aż do kości. Dianą trzęsły dreszcze; trudno wprost uwierzyć, że w południe będzie tu nieznośnie gorąco.

— Czy moglibyśmy rozpaść ogień? — spytała z obawą, że dym mógłby wydać miejsce ich kryjówki.

— Myślę, że jesteśmy tutaj dość bezpieczni.

— Przygotuję trochę kawy.

Nie trwało to długo; rozpalanie ogniska w plenerze było jedną ze specjalności Diany. Pili więc kawę: czarną, gorącą i słodką aż do mdłości. Oboje byli spragnieni tego wzmacniającego napoju. Znalazła także paczkę suchych, wysokokalorycznych biszkoptów, które chciwie zjedli.

— Wziąłbym więcej jedzenia— zauważył Ramon kwaśno — gdybym przypuszczał, że dotrzesz aż tak daleko. Spodziewałem się szybko znaleźć ciebie, zwiniętą w kłębek, łkającą i zagubioną. Gdybym znał twoje prawdziwe zdolności, wezwałbym policję i przybył z całą kompanią. — Spojrzał bystro na Dianę, a potem dodał: — Muszę cię przeprosić także za moje wcześniejsze zachowanie tak... niezbyt przyjazne wobec ciebie, ale miałem swoje powody.

— Co masz na myśli?

— Otóż, mogę mieć opinię kogoś skłonnego do irytacji, ale na ogół nie postępuję w tak nieprzyjemny sposób, wierz mi — uśmiechnął się żałośnie. — W tej akcji, która nastąpić mogła w każdej chwili, twoja obecność była... no, powiedzmy niewskazana. — Kąciaki ust ponownie uniosły mu się w uśmiechu. — Chciałem cię nastraszyć i skłonić do wyjazdu. Ale to nie był dobry sposób, prawda? Wszystko, co robiłem, doprowadzało cię do szału.

— Więc ty... postępowałeś tak umyślnie! — Pomyślała o jego arogancji, obrazach, pogardliwych kpinach i szyderstwach... — To była gra?

— Tak.

— Wydawałeś się być zadowolonym z tego, co robisz! — odparła ostrzej, niż zamierzała.

— Zgrywając się na bigota, to chciałaś powiedzieć? — Pytając uniósł brwi.

Diana zauważyła w jego oczach błysk rozbawienia i przypomniała jej się scena w biurze Ramona, tamtej nocy, kiedy wyobraziła sobie, że on zgrywa się i że go to bawi. Pomyślała wtedy, że nie warto tak się przejmować jego zmiennymi humorami.

Tymczasem Ramon, jakby razem z nią cofnął się w niedawną przeszłość i pragnąc coś wyjaśnić również sobie,

mówił: — Nie wiedziałem, że gram jak aktor, ale podobały mi się pewne momenty. A i ty robiłaś, co mogłaś, żeby zemścić się na mnie i postawić na swoim, prawda?

— Chciałam na przykład przybyć tutaj! — potwierdziła ponuro.

— O, tak! — Roześmiał się, ale nagle umilkł. Widać było, jak bardzo jest zmęczony. Diana uznała, że powinien się przespać, a on zgodził się bez protestów. Zawiesiła więc szybko dwa hamaki i kiedy zasnął, położyła się również. Czuła się wyczerpana. Kiedy Pires obudził się, było już po piątej. Dziewczyna usiłowała właśnie na uboczu wytrzeć do czysta twarz moką flanelą, kiedy zauważyła, że Ramon stoi tuż za nią.

— Muszę wyglądać okropnie! — stwierdziła, zastanawiając się, jak długo już ją obserwuje. Nie dziwiła się, że nie interesował się nią jako kobietą. Rozumiała, że musi wyglądać jak półtora nieszczęścia: brudna, spocona, z rozczochranymi, matowymi włosami.

Pires obszedł ognisko i stojąc przyglądał się Dianie siedzącej w blasku płomieni. Zmarszczył brwi i potrząsnął przecząco głową.

— Okropnie? O, nie! Wręcz przeciwnie. — Nie spuszczał z niej wzroku, wpatrując się w jej wielkie, zielone oczy, jak gdyby widział ją po raz pierwszy w życiu. Siedziała jak urzeczona. Bandaż w poprzek czoła nadawał mu wygląd operetkowego czarnego charakteru... a może księcia z bajki?

— Musimy zdobyć więcej drzewa na opał — oznajmił. Jego nastrój zmienił się nagle i przez resztę wieczoru był uprzejmy, lecz jakby nieobecny i chłodny. Powinna teraz czuć się swobodniej, ale tak nie było.

Następnego dnia ruszyli w drogę. Szybki powrót sił Ramona zadziwił dziewczynę. Pomogła mu usunąć bandaż,

który zastąpił szerokim plastrem. Rana wyglądała na prawidłowo gojącą się i Diana miała nadzieję, że kryzys już nie powróci.

Wędrowali powoli przez las, zmierzając wciąż na wschód, w stronę małej, indiańskiej wioski, gdzie Ramon mógł pozyczyć kanu i zdobyć prowiant. Zachowywał się spokojnie, był delikatny i opiekuńczy. Unikał dotykania dziewczyny. Wspomnienia chwili, kiedy ją całował, zdawały się być tylko wytworem jej wyobraźni.

Różnorodność roślin, zwierząt i owadów pomagała Dianie odwrócić uwagę od plagi insektów, pęcherzy i ranek pozostałych po ich ukąszeniach. Dla każdej rośliny, o którą dziewczyna pytała, Ramon znajdował w pamięci indiańską nazwę, nawet jeśli był to okaz nie znany jeszcze żadnemu botanikowi. Mówił, że w Mato Grosso można odkryć mnóstwo ciekawych okazów flory i fauny. Konieczne jest jednak, by uchronić te tereny przed skażeniem cywilizacją.

— Wiem — odpowiedziała z chytrą miną. — Dowcip polega na tym, że ja i Bob sądziliśmy, że planowałeś kupić Roparui.

— Kupić górę? — Obrócił się ku niej zdumiony. — Ale poco?

— Słyszeliśmy, że może być tam coś warte kopania, na przykład złoto. Kiedy więc zauważyliśmy, że coś ukrywasz przed nami, to...

— Myślałaś, że mógłbym zrobić majątek dzięki nielegalnej kopalni? A czy nie pomyślałaś, że gdyby ono istniało, Vicente znalazłby je, kiedy był tam parę lat temu? Nie, nie ma złota w Parku, co mnie cieszy, nawet jeśli nigdy nie zostanę bogaczem pracując nadal tam, gdzie dotychczas.

— Czy praca menedżera nie jest dobrze płatna?  
Potrzaśnął głową.

— Nie, raczej nie.

— Pieniądze to nie wszystko — stwierdziła.

— To prawda, ale większość kobiet nie zgodziłaby się z tobą. Czyż one nie twierdzą, że bogactwo jest największym afrodyzjakiem?

— Mówiłam ci już, że masz staroświeckie poglądy na temat kobiet. Dzisiaj same sobie radzimy. Mamy dobre pensje i nie potrzeba nam mężczyzn, żeby nas utrzymywali.

— Może tak jest w Anglii. — Urwał, by otrzeć sobie pot z czoła. — Ale nie tu. Kiedy dzieci zaczną się rodzić, gdzie będą wasze wielkie pensje?

— To zależy, ile będzie tych dzieci.

— Masz na wszystko odpowiedź, prawda? — Westchnął.  
— Życie nie jest takie proste, jak ci się wydaje.

Kiedyś byłaby natychmiast gotowa do sprzeczki z nim — teraz milczała, przeczuwając, że za tymi słowami kryje się jego tajemnica. Czy jakaś kobieta, na której mu kiedyś zależało, może Leah Carstairs, przedkładała bogactwo nad jego miłość? „Jeśli tak, to musiała być głupia” — myślała Diana, rzucając ukradkowe spojrzenie na dumny, ostry profil Ramona.

Dotarli do osiedla Indian późnym popołudniem. Zatrzymali się na krótko, by pożyczyć kanu i nieco prowiantu, a potem wyruszyli w dół rzeki. Czekala ich długa podróż powrotna. Początkowo wiosłowała Diana, ale wkrótce Ramon ją zastąpił.

O zmierzchu zatrzymali się i rozbili obóz.



## ROZDZIAŁ ÓSMY

Diana spojrzała ukradkiem na Ramona. Zjedli właśnie kolację — usmażoną rybę — a teraz Ramon siedział wygodnie, opierając się plecami o pień drzewa i popijając kawę. W lesie czuł się jak w domu, w swoich spłowiałych, starych łachach i zdefasonowanym kapeluszu.

Jak wyglądałby w eleganckim garniturze, starannie ogolony, z przyciętymi włosami? Tego Diana nie mogła sobie wyobrazić. Nagle podniósł głowę, ich oczy spotkały się i dziewczyna wstrzymała oddech. W ciągu ostatnich dwudziestu czterech godzin traktował ją jak towarzysza podróży, a nie kobietę. Prawie zapomniała, że kiedyś odnosił się do niej inaczej. Nie przyszło jej nawet do głowy denerwować się tym, że przebywa sama w lesie z tak silnym mężczyzną.

Coś w jego oczach przeraziło ją. Nie umiała nazwać ich wyrazu. Pożądanie? Pragnienie? Nie mogła nie dostrzegać faktu, że była kobietą, a on mężczyzną.

Zerwał się nagle, odstawiając gwałtownym ruchem nie dopitą kawę. Diana znieruchomiła.

— Idę popływać! — wycedził przez zaciśnięte zęby. Będę niedaleko stąd, w dole rzeki. Zostań tu.

Nie było go długi czas. Kiedy wrócił, był już zupełnie opanowany. Włosy zaczesał z czoła do tyłu i wyglądał znacznie młodziej, pomimo plastra na skroni.

— Zrobiłabyś lepiej to samo — zaproponował.

— Mam pójść popływać?

— Tak. Nie zamierzałem proponować ci, żebyś odwiedziła saunę! — zakpił.

Diana zaczerwieniła się. Nie wzięła ze sobą kostiumu kąpielowego, ale perspektywa odświeżającej kąpieli była bardzo nęcąca.

— A ty gdzie się kapałeś?

— Zaprowadzę cię. Chodź!

Wstała posłusznie, ale nie postąpiła naprzód.

— Nie wiem...

— Nie zostanę z tobą. — Był znowu, jak dawniej, chłodny i obcy. — Wiem, że nie masz kostiumu do kąpieli.

Szli ścieżką między drzewami. Diana zdziwiła się, że oddalają się od rzeki pod kątem prostym, ale po kilku krokach wyszli na małe jezioro, spokojne i ciche w blasku zachodzącego słońca. Wąski strumyk łączył je z rzeką, która zasilala to jezioro świeżą i krystalicznie czystą wodą. Jako basen kąpielowy miejsce to było wprost idealne.

— W porządku?

— Tak.

Ramon opuścił ją oświadczając, że będzie czekał w obozie. Kiedy była pewna, że już odszedł, pospiesznie rozebrała się. Z przeciwległego brzegu obojętnie przyglądała się jej czapla.

Powoli weszła do wody. Po nieruchomej poprzednio tafli jeziora zaczęły rozchodzić się srebrzyste kręgi. Sprawiało to Dianie dziwną radość. Woda była ciepła i pieściła skórę jak balsam. Zanurkowała, potem prychając zaczęła przeczesać palcami swoje splątane, długie włosy. „Królestwo za szampon” — pomyślała uśmiechając się do siebie, ale pocieszyła się, że byłoby świętokradztwem zanieczyszczać to piękne jezioro mydlaną pianą.

Pływała, potem odpoczywała w wodzie leżąc na plecach. Długo brodziła po piaszczystym dnie jeziora, grzejąc w ostatnich promieniach słońca mokre ramiona i wilgotną twarz.

Cały zastęp ibisów osiadł w tym czasie na wodzie na przeciwległym brzegu jeziora, nie zwracając najmniejszej uwagi na dziewczynę. Czas jakby zatrzymał się. Dopiero gdy promienie słońca zostały odcięte linią drzew na zachodzie, Diana zdecydowała, że czas już opuścić ten uroczy zakątek. Brodząc dotarła do brzegu. Wtedy dopiero zobaczyła Ramona, który stał tam, obserwując ją zza drzew na brzegu jeziora. Stanęła jak wryta, usiłując się wstydliwie zasłonić rękoma. Najgorsze było to, że, aby dostać się do swoich łaszków, musiała przejść koło niego.

— Mówiłeś... obiecałeś... — zaczęła.

— Wiem. — Głos miał ochryply. Chwycił leżące pod drzewami ubranie dziewczyny i rzucił je w jej stronę. Diana zasłoniła się nim, niczym tarczą obronną.

— Nie było cię tak długo! Zacząłem się martwić, mogłaś przecież znowu znaleźć się w tarapatkach! — wyjaśnił. Jego policzek drgał nerwowo. — Ubierz się — dodał. — Ja już odchodzę.

Dianie niełatwo było odzyskać spokój. Czuła na całym ciele palące spojrzenie Ramona. Jej nagość niewątpliwie wywarła na nim duże wrażenie. „Nie jest przecież erotomanem umyślnie podglądającym” — tłumaczyła sobie Diana. Po prostu niepokoił się o nią, ale wyglądał jak sparaliżowany, niezdolny do oderwania oczu od jej ciała...

Gdy się ubierała pospiesznie i niezdarnie, bo ubranie lgnęło do wilgotnej skóry, uświadomiła sobie, jak jej ciało wyglądało w oczach mężczyzny: smukłe linie nóg, jeszcze

nieopalonych, wydatne i krągłe piersi, z sutkami stwardniałymi po długiej kąpieli w jeziorze.

Wracała powoli, obawiając się momentu ponownego spotkania z Ramonem. Co on jej powie? Czy udało mu się już opanować? Pragnął jej, teraz w to nie wątpiła. Bob miał co do tego zupełną słuszność!

Piresa zastała przy parzeniu kawy; twarz zasłaniało mu rondo sombrera. Usiadła więc cicho kilka kroków dalej. Wręczył jej kubek gorącego płynu, dodając szorstko: — To cię ogrzeje!

— Dziękuję. — Otoczyła naczynie dłońmi, nie przyznając się, że istotnie jest jej zimno, ponieważ mogło to przypomnieć mu scenę nad jeziorem.

Zrobiło się już ciemno i cykady rozpoczęły chórem nocne muzykowanie. Ramon wstał raptownie i zdeptał ogień.

— Najlepiej będzie ułożyć się już do snu — rzekł. — Jutro musimy wcześniej wyruszyć.

Podszedł do hamaka, a Diana zajęła się własnym pościelaniem. Przed ułożeniem się w hamaku zdjęła dyskretnie spodnie, upewniając się, że Pires jej nie widzi. On rozebrał się, nie zwracając w ogóle uwagi na to, czy dziewczyna obserwuje go, czy nie. Milczenie między nimi było równoznaczne z napięciem. Ona pragnęła, żeby powiedział coś, choćby tylko „dobranoc”. Nie chciała zrobić tego pierwsza, żeby to nie wyglądało na coś w rodzaju zaproszenia. To wyszeptane „dobranoc” mogło być przecież tylko przyjacielskie, niestety, nie doczekała się tego. Fakt, że Ramon miał na nią ochotę, wcale nie był jednoznaczny z tym, że ją lubi.

Nadszedł świt z perłowobiałą mgłą, która zastygła nad rzeką jak piana; ptaki śpiewały wysokimi głosami, a ryby rozbijały powierzchnię wody głośnym pluskiem. Diana obu-

dziła się i przeciągnęła, potem odsunęła moskitierę i wysunęła nogi na zewnątrz. Pires wstał wcześniej i łowił właśnie ryby na brzegu rzeki.

Kiedy ubrała się i wykorzystała gąszcze za obozem, żeby dokończyć toalety, podeszła do Ramona. Dał jej bez słowa znak, aby milczała. Wyciągał właśnie na brzeg pięknie błyszczącą, dużą rybę, którą dorzucił do innych, złapanych wcześniej.

— Wystarczy — rzekł lakonicznie i zwinął żyłkę wędki.

— Poniosę je! Dobrze? — zaproponowała Diana, chcąc okazać się użyteczną.

— Jeżeli masz ochotę. — Skinął głową i wrócili do ogniska, gdzie kociołek bulgotał już zawzięcie.

— Co ci dolega? — zapytał Pires, gdy dziewczyna uklękała, żeby umieścić ryby na ruszcie.

— O co chodzi? — Była zaskoczona tym pytaniem.

— Wyglądasz, jakby coś leżało ci na sercu.

— Tęsknię za filiżanką herbaty — odpowiedziała. — To wszystko!

— Musisz poczekać, aż znajdziemy się z powrotem w Aldeia — odparł, dodając trochę ironicznie: — Nie jesteśmy całkowicie nieucywilizowani, wiesz...

— Nigdy nie twierdziłam, że jesteś taki, prawda?

— Może istotnie nie... ale czy nie uznałaś naszych urządzeń za prymitywne?

— Wcale nie... Dziwi mnie nawet, że nie są jeszcze bardziej niewygodne, żeby mogły odstraszać źle widzianych gości, jak Bob i ja.

— Powinnaś raczej powiedzieć: kłopotliwych niż źle widzianych — odparł, siadając naprzeciwko Diany przy ogniu. Niewątpliwie pragnał ją podrażnić, ale ona westchnęła cicho z uczuciem ulgi. Z takim stylem rozmowy mogła się pogo-

dzić, ze wszystkim, z wyjątkiem jego chłodnej obojętności. Na dalszą wymianę zdań zabrakło czasu, bo gdy tylko słońce rozproszyło opary mgły, ładowali już ekwipunek do czółna.

Ześliznęli się gładko na wodę i zaczęli piękną jak sen podróż w dół rzeki. Zapamiętała ją na całe życie. Napięcie między nimi minęło. Jej samotna podróż w górę rzeki była rozrywką. Ta była odmienna: nawet w blasku słońca kryła się magia.

Gdy wiosłowali powoli z prądem, Ramon opowiadał jej o życiu jaskrawo upierzonych ptaków, które właśnie przelatywały nad ich głowami z brzegu na brzeg, atakując owady i ryby. Znał ich nazwy, a także zwyczaje, których nauczyła go obserwacja i książki. Przytaczał fascynujące historie o różnych szczepach indiańskich. Nagrywał ich opowieści i mity, spędzając niezliczone godziny w indiańskich chatach, podczas gdy starzy ludzie wspominali dawne, dobre czasy. Mówił jak zwykle sucho i beznamiętnie, ale błyszczące oczy zdradzały, jak głęboko wspomnienia te zapadły mu w serce i jak stanowczo postanowił robić wszystko, co tylko było możliwe, żeby pomóc tym ludziom i ochraniać ich przed złem.

— Nie jest to łatwa praca — przyznał — utrzymywanie Parku w stanie nietkniętym, domaganie się funduszy od rządu, który żałuje grosza na jego potrzeby.

— I radzenie sobie także z prasą — dodała Diana, zastanawiając się po chwili, czy nie za szybko poruszyła tę sprawę.

— Właśnie. — Pacnął muchę, która wylądowała na jego ręce, przeszkadzając mu w wiosłowaniu. — Mówiąc o pracy: nie powiedziałaś mi jeszcze dokładnie, co właściwie robiłaś w Amazonii?

— Przepisywałam notatki dla ekspedycji, zajmowałam się trochę nagraniami — wyjaśniła. — I byłam szczęśliwa, że dostałam tę pracę, bo była to okazja jedna na milion!

— Nie sądziłaś, że to ciężka próba?

— Nie — odparła z dumą. — Cieszyłam się, że mogłam brać w tym udział.

— Wierzę ci teraz — rzekł Ramon z uśmiechem — chociaż wcześniej bym nie uwierzył. Pomimo to wyobrażam sobie, z jaką ulgą wrócisz wreszcie do cywilizowanego społeczeństwa?

— Właściwie nie — zaprzeczyła, czując lekką irytację z powodu jego tonu. Dotknęło ją protekcyjne traktowanie kobiet przez Ramona, który zdawał się wątpić, aby jakaś cudzoziemka mogła rzeczywiście znaleźć miejsce w jego świecie.

— Mogę mieć ochotę na herbatę, ale mimo to jestem zupełnie szczęśliwa, żyjąc bez „cywilizowanego społeczeństwa”.

Mężczyzna uśmiechnął się bez przekonania. Położył wiosło na kolanie i pozwolił kanu dryfować chwilę z prądem.

— Teraz parę słów o twoim przyjacielu. On różni się bardzo od ciebie, prawda? Nie wierzę, żeby będąc samotnym w dżungli, poradził sobie tak dobrze jak ty.

— Tu masz rację! — Diana uśmiechnęła się mimo woli. — Ale las nie był nigdy jego środowiskiem; Bob jest po prostu typowym mieszczuchem.

— Zapomniałem prawie — rzekł Ramon, mrużąc oczy w słońcu — że oboje jesteście dziennikarzami. — W jego głosie był lekki chłód.

— Boba i mnie nie łączy nic, o czym myślisz. — Chciała powiedzieć mu całą prawdę o przyjaźni z Hutchkinsem, ale słowa uwięzły jej w gardle.

— Wiem o tym — przytaknął. — Ale twoje poczynania wyrządziły Parkowi ostatnio więcej szkody niż pożytku, tak więc powinnaś rozumieć moją urazę i uprzedzenia.

— Słuchaj: być może Bob i ja możemy zrobić coś, żeby to naprawić — zaryzykowała Diana — jeśli dasz nam szansę.

— Może... — Uśmiechnął się chytrze. — Nie wiem nic o Bobie, ale kiedy sprawdzałem twoje personalia, powiedziano mi, że jesteś bardzo dobra w swoim zawodzie. Przepowiadają ci błyskotliwą karierę.

— Mam taką nadzieję — powiedziała, zastanawiając się, dlaczego Pires mówił o tym jakby z żalem w głosie.

— Powiedz mi — zagadnął ją nagle niedbałym tonem — coś o Bobie. Jakim cudem może planować małżeństwo z tobą, skoro jest już żonaty?

— O czym ty mówisz? — spytała speszona.

— Widziałem jego paszport... co on zamierza zrobić ze swoją żoną?

Potrząsnęła głową.

— Są od pewnego czasu w separacji i rozwód powinien zostać orzeczony w najbliższym czasie.

— I on pragnie ryzykować znów małżeństwo, tak szybko? — Uśmiechnął się kpiąco. — Nie cieszy go, że wróci do stanu kawalerskiego?

— Nie. Nie jest podobny do ciebie. — Diana wypowiedziała te słowa ostro, ale cała rozmowa o Bobie była jej zdaniem dwuznaczna.

— Sądzisz, że jestem wrogiem małżeństwa?

Wzruszyła ramionami.

— Nie wiem. A jesteś?

— Nie. — Potrząsnął głową, patrząc na nią spod prostych, czarnych brwi. — Nie powiedziałbym tego. — Potem dodał z namysłem: — Ale ja pytałem cię o Boba. Kiedy więc



zamierzasz go poślubić? Czy nie myślisz, że całe ryzyko spadnie na ciebie, jeżeli wyjdiesz za niego, bez względu na niepowodzenie poprzedniego związku? Dlatego przyszło mi do głowy doradzić ci, że lepiej będzie, jeśli zostaniesz nadal tylko kochanką Boba.

— Nie jestem jego kochanką! — Spojrzała na Ramona ostro, zdenerwowana użyciem tego wyrażenia, które wyszło już dawno z mody. Nie warto było nawet wspominać, że Bob ma za sobą niejedno, ale dwa pechowe małżeństwa! — Powiedziałam ci to wcześniej. I powtarzam, że moje prywatne życie to nie twój interes i nic ci do tego!

— Być może. — Pires pozostał niewzruszony, ale w jego oczach pojawił się ostrzegawczy błysk. — Cieszy mnie fakt, że jak słyszę, jeszcze mu się nie oddałaś. Szczerze mówiąc — to nie jest odpowiedni mężczyzna dla ciebie.

Jego bezczelność rozdrażniła Dianę.

— Skąd to wiesz? Przecież ty nic nie wiesz o Bobie!

Wzruszył tylko ramionami.

— Ale wiem coś niecoś o tobie, moja droga, i to wystarczy, żebym wiedział także, że on nie jest tym właściwym mężczyzną!

Patrzyła na Piresa badawczo, chciała pozostać nadal gniewna, ale wesołe błyski w jego oczach rozbroiły ją.

— Nie ma sensu kłócić się o to — zauważyła, wzdychając żałośnie — skoro sprawa ta nie jest niczym poważniejszym! Nigdy nie byłam zaręczona z Bobem, udawałam tylko na złość tobie, bo rozgniewały mnie twe wieczne docinki.

Zaśmiał się.

— Przeszkadzałem ci zbyt często? — Słońce oświetlało jego muskularne ramiona, ilekroć zanurzał wiosło głęboko w wodzie. — Musisz mi darować, jak ci już wcześniej tłumaczyłem — istniały przyczyny mojej arogancji. Ale

powiedz mi chociaż jedno: jesteście czymś więcej niż tylko dobrymi przyjaciółmi? Moje oczy nie mogły zawieść mnie wtedy aż tak?

Nawiązał więc do tej nocy, kiedy zaskoczył ich oboje w chacie. Diana zanurzyła dłoń w wodzie i patrzyła na nikły ślad, tworzący się za czołnem.

— Źle zrozumiałeś tę scenę! — powiedziała, nie odrywając oczu od zielonej głębi rzeki.

— Nie chciałaś kochać się z Bobem?

— Nie. Usiłowałam wyrwać mu się, kiedy wpadłeś do nas — przyznała czując onieśmienie.

— Czyli wyciągnąłem niewłaściwy wniosek?

— Tak! — Kiwnęła głową, patrząc na drzewa rosnące blisko brzegu rzeki, jak gdyby widok ten zafascynował ją nagle.

— Wydaje mi się, że wyciągnęliśmy błędne wnioski o sobie; i ty, i ja. — Westchnął i nie pytał już więcej o nic.

Pokiwała w milczeniu głową, a Ramon zamyślił się. W południe zatrzymali się na brzegu rzeki, gdzie Pires znalazł ukryte w srebrzystym piasku żółwie jaja i zabrał kilka na lunch, zostawiając resztę, aby małe wylęgły się bez przeszkód. Po posiłku położył się w cieniu drzewa i urządził sobie krótką sjęstę, a Diana wybrała się, by rzucić okiem na okolicę i nacieszyć się czystym, jasnym piaskiem, skrzypiącym pod stopami. Przyglądała się idealnie przystosowanym do warunków życia roślinom i owadom znajdującym się nad rzeką.

Potem wyruszyli w dalszą drogą, bez zbędnego pośpiechu. Nie pojawił się nikt, kto by ich wyglądał, a jeśli ich poszukiwano, to najwidoczniej gdzie indziej. Świat mógł równie dobrze zapomnieć, że istnieją, i tylko czaple przyglądały się przepływającej łódce.

Wraz ze zbliżającym się zmierzchem nadeszła pora poszukiwania odpowiedniego na nocleg miejsca, co nie było łatwe w przypadku tej rzeki, gdzie w promieniu mili, a niekiedy i paru, nie pojawiała się na brzegu nawet smuga piasku. Wieczór był jednak zbyt piękny, żeby się martwić, tym bardziej że za zakrętem rzeki, mimo gęstniejącej ciemności, ujrzeli ławicę piasku. Ich kanu dobiło spokojnie do brzegu i Diana wyskoczyła pierwsza, pomagając Ramonowi Wyciągnąć czółno na plażę. Płynąc złowili już ryby na kolację, a na brzegu znaleźli obfitość suchego drewna na ognisko. Piasek był tak miękki i suchy, że nie trudzili się wcale zawieszaniem hamaków.

Właśnie Diana zamierzała położyć ryby na prowizorycznym grillu, kiedy usłyszała głos Ramona: — Nie, najpierw chodź popływać!

Rozejrzała się dokoła.

— Gdzie? — Rzeka była tu piękna, ale nieznana i nie mogli pływać oddzielnie.

— Tu, bo gdzie indziej nie ma odpowiedniego miejsca. Jesteśmy bezpieczni tak długo, jak długo pozostajemy na płyciźnie. Nie ma tu w pobliżu aligatorów, a w dodatku, jeśli mówiono mi prawdę, bardziej prawdopodobne jest, że to my przepłoszymy je, a nie one nas!

— To nie aligatorów się boję! — Diana zdecydowała, że najlepiej wyznać prawdę prosto z mostu.

Spojrzał na nią ostro.

— Chodzi o mnie, tak?

— Tak — potwierdziła. — Ostatnio postąpiłeś nie fair.

— Wiesz, dlaczego wróciłem! — rzekł z oburzeniem. — Na pewno nie po to, żeby grać rolę zбочеńca!

Zagryzła wargi, przełykając gorzkie słowa, jakie cisnęły się jej na usta. Lepiej postawić tę drażliwą sprawę jasno.

Woda wyglądała na chłodną; zapraszała wprost do kąpieli i kusiła...

— Dobrze — powiedziała stanowczo — ale ty idziesz pierwszy i nie gapisz się na mnie, kiedy wychodzę z wody.

Uśmiechnął się i obiecał tak zrobić, dodając jednak uszczypliwie: — Jest już prawie zupełnie ciemno, jesteś więc bezpieczna!

Ona też uśmiechnęła się, rozbawiona, i w świetle ogniska zobaczyła znowu to szczególne ciepło w jego spojrzeniu. Coś w niej drgnęło — uczucie, jakiego dotychczas nie znała. Gdy czekała, kiedy Ramon zanurzy się w wodzie, odczuła ogromne podniecenie. „To idzie do głowy, taka noc tropikalna” — usiłowała zakpić z siebie.

Kiedy Diana usłyszała głośne pluskanie, szybko zdjęła spodnie i koszulę. Kusiło ją, żeby pozbyć się również majteczek, ale powstrzymała się ze względu na bliską obecność Ramona. Z biustonoszem nie było problemu, jako że nigdy go nie nosiła. Buty zostawiła na brzegu i weszła ostrożnie do ciemnej wody. Była prawie zimna, ale wspaniale odświeżała. Zeszła w dół po stromym zboczu tak głęboko, że rzeka opłukiwała jej ramiona, a potem popłynęła na jeszcze głębszą wodę. Otworzyła oczy po podwodnym nurkowaniu i wyprostowana stanęła twarzą w twarz z Ramonem.

— No i co? Nie jesteś zadowolona, że weszłaś do wody?  
— zapytał wesoło.

— O, tak! Ślicznie tutaj! — odparła, odpływając od niego na bezpieczną odległość. Przebywanie w wodzie blisko niego niepokoiło ją zbyt mocno. Kiedy odpoczywała stojąc w wodzie zakrywającej jej ramiona, ciągle jeszcze drżała, choć wcale nie było jej zimno. W obecności Ramona działy się z nią dziwne rzeczy, jakby ktoś czy coś odmieniało ją zupeł-

nie. Męczyły ją wtedy pragnienia, których nie znała wcześniej.

— Czy wszystko w porządku? — Dobiegł do niej głos Ramona.

Skinęła potakująco głową, ale potem zastanowiła się, czy ją widzi z daleka, zza mgły i zawołała:— Tak! — Pomyślała równocześnie, że nigdy nie zwracał się do niej po imieniu. Czy był to jeszcze jeden sposób, żeby utrzymać między nimi dystans?

Poczuła nagłe zimno, jakby pustkę w sercu. Czy spojrzała w przyszłość ku czemuś, czego została pozbawiona, co jej odebrano?

— Wychodzę z wody! — oznajmiła. — Mam dość!

— Zawołaj mnie, kiedy będziesz ubrana! — Usłyszała w odpowiedzi.

Diana z obawy, ażeby Ramon nie zobaczył jej nagiej **lub** ubranej niekompletnie, spieszyła się tak bardzo, że pośliznęła się na brzegu i wpadła do rzeki po pas. Równocześnie poczuła, że coś obrzydliwie śliskiego owija się dookoła jej nogi. To coś ukłuło ją czymś ostrym. Krzyknęła mimo woli:

— Och, nie!

— Co się dzieje? — Ramon znalazł się przy niej momentalnie i podtrzymał ją, chwytając za ramiona.

— Coś mnie ukłuło, owinęło mi się koło łydki! — Starła się uspokoić, ale za dużo wiedziała o węzach. O, nie, to nie byłoby sprawiedliwe, to nie mogło się zdarzyć właśnie jej...

— Bądź cicho! — Poczuła jego dłoń na stopie, potem nastąpiło szarpnięcie i Ramon wyciągnął to „coś” z wody.

— A oto winowajca!

— Co to jest? — zapytała zdławionym głosem, cofając się przed niemiłym widokiem.

— Chodź, zobacz i powąchaj! — Ujął jej dłoń i dotknął nią długiego, śliskiego węża, jadowitego za życia, teraz już nieszkodliwego.

Diana przełknęła ślinę i spojrzała na Ramona.

— Ach tak! — Czuła się jak idiotka. — Przykro mi, ale myślałam, że to żywy wąż.

— I ja tak myślałem! — Zaklął brzydko i odrzucił z obrzydzeniem sprawcę paniki na drugi brzeg rzeki. — Dzięki Bogu, był już zdechły!

Dziewczyna drgnęła i nagle uświadomiła sobie, że Ramon wciąż trzymają za ramię lewą ręką, a ich ciała stykają się w wodzie. On zorientował się w tej samej chwili, ręka na jej ramieniu zwolniła uścisk. Mógł widzieć jej twarz, gdyż księżyc wyłonił się już zza drzew, skapanych teraz w jasnej poświacie.

Oczy mężczyzny płonęły, wpatrywały się w jej oczy wzniesione ku niemu — i wtedy przycisnął Dianę do siebie, a ich usta spotkały się w namiętym pocałunku.

Dziewczyna nie protestowała. Była oczarowana wiosenną nocą, rzeką i światłem księżyca — ale przede wszystkim — samym Ramonem Piresein.

Wypuścił ją z objęć tak nagle, że zachwiała się. Złapał ją za ramię i pomógł odzyskać równowagę. Oddychał ciężko.

— Idź lepiej się ubrać! — polecił jej głosem ochrypłym z emocji.

Diana zrobiła laki ruch, jakby zamierzała wyciągnąć rękę do Ramona, potem jednak zawahała się, speszona brakiem reakcji z jego strony. Nie czuła ani ulgi, ani chęci ucieczki, tylko palącą potrzebę jego bliskości. Chciała, żeby znowu wziął ją w ramiona...

— Idź — powtórzył zachrypłym głosem, puszczając wreszcie jej ramię i odwracając się w stronę rzeki, żeby nie sądziła, że chce podglądać ją, kiedy wyjdzie z wody.

Wygramoliła się więc sama na brzeg i pospieszyła do miejsca, gdzie zostawiła rzeczy. Miała znów dreszcze, ale tym razem nie z zimna.

Osuszyła się ręcznikiem, a potem szybko ubrała. Marzyła, żeby mieć wreszcie coś czystego do nałożenia.

## ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Zanim Ramon zjawił się ponownie, Diana przygotowała kolację. Był już ubrany, ale włosy miał wilgotne — w przeciwieństwie do niej, bo szybko wysuszyła swoje loki w ciepłe ogniska. Spojrzała na niego, a on na nią i przez chwilę trwali tak w napiętym milczeniu, po czym Ramon przykucnął przy ognisku. Podała mu porcję ryby, unikając jego wzroku. Jedząc nie odrywała oczu od talerza.

Ogień syczał, cykady śpiewały swą nigdy nie kończącą się pieśń. Milczenie między nimi było nie do zniesienia. Wszystko zmienił tamten pocałunek w jeziorze. Ramon nie odzywał się i nie spojrzał na nią ani razu, dopóki nie wręczyła mu kubka z kawą. Siedział oparty plecami o gruby konar, ze skrzyżowanymi na kolanach rękami, wpatrując się w płomień ogniska.

Diana, dopijając kawę, zadawała sobie pytania, na które nie mogła znaleźć odpowiedzi. Dlaczego ten człowiek zachowuje się tak dziwnie? Czyżby był zły na siebie za to, że jej pragnie? A jeśli tak — to czemu? Wiedział już teraz, że nigdy nie była narzeczoną Boba. Może ciągle w jakimś sensie czuje do niej niechęć?

Nie myślała nigdy o przyszłości, o świecie, do którego wkrótce już będzie musiała wrócić, jak gdyby tamten świat przestał istnieć, a wszystko czego chciała, było tu, w kręgu światła płomieni.



Odstawiła kubek i z westchnieniem opłótła rękami kolana, wpatrując się pośpiesznie w ogień.

— Powinniśmy być z powrotem w wiosce mniej więcej jutro wieczorem — odezwał się Ramon, przerywając wreszcie niezręczne milczenie.

— Och... — Nie mogła wymyślić innej odpowiedzi. To będzie koniec dziwnej przygody.

— Potem odleczisz do Brazylii.

Patrzyła na niego swymi zielonymi oczyma bez wyrazu. Stolica Brazylii: Brasilia, stolica Anglii: Londyn... Te dwie nazwy wydawały się tylko pustymi dźwiękami, czymś nie-realnym w zestawieniu z tym ogniskiem, tą rzeką, lasem... Z trudem mogła zobaczyć siebie znowu tam, w biurze, przepisyującą na maszynie notatki... Czy ta noc z czystym niebem, pełnym nieznanych gwiazd i ten tajemniczy las staną się dla niej kiedyś nierzeczywiste? Czy zapomni pewnego dnia o Ramonie?

Pires kręcił się niespokojnie na kłodzie, jakby szukał wygodniejszej pozycji; teraz spoglądał w dal na rzekę płynącą cicho i błyszczącą w świetle księżyca. Tam, gdzie siedzieli — w cieniu drzew — było ciemniej, i tylko ognisko oświetlało ich twarze.

Popatrzył teraz na nią i wszelkie nierozważne słowa wymówione kiedyś odeszły w niepamięć. Znowu panowało milczenie, ale Diana nie mogła oderwać wzroku od Ramona, niczego ukrywać, ani udawać.

— Chodź tu! — poprosił cicho.

Wstała i z wahaniem usiadła obok niego, a serce biło jej tak głośno, że zdawać się mogło, że i on je słyszy. Wyciągnął do niej rękę i delikatnie ujął dłoń dziewczyny, oplatając jej palce swoimi. Jego dłonie były chłodne, a skóra twarda. Lekko obrócił jej twarz, tak że patrzyła mu teraz prosto w

oczy. Te oczy były tak ciemne, że nie można było z nich wyczytać nic, chociaż ona gotowa była otworzyć przed nim całą swą duszę.

— Diano... — Wymówił jej imię bardzo czule. Po raz pierwszy nazwał Dianę jej imieniem, a potem pochylił głowę i pocałował ją, tym razem delikatnie. Zamknął oczy i oparła się o niego. Otoczyły ją silne ramiona mężczyzny.

— Nie powinienem tego robić — rzekł ze skruchą, kiedy wreszcie uwolnił ją z uścisku. — Ale nie mogłem zapanaować nad sobą.

— Nie rozumiem cię! — zawołała gniewnie dziewczyna, odsuwając się od niego. — Czy coś jest ze mną nie w porządku?

— Nie... — wyszeptał, przyciągając ją bliżej siebie i obrysowując delikatnie palcem linię jej podbródka. — Ty i ja jesteśmy z rói:nych światów i nie powinniśmy komplikować sobie nawzajem życia!

— Jak możesz być tak... tak nieczuły? — wykrzyknęła. — Kto wie, co przyniesie przyszłość?

— Byłoby lepiej, gdybym naprawdę był zimny — odpowiedział Ramon. — Gdyby tak było, byłbym teraz na drugim końcu prerii, a nie trzymał cię w ramionach. — Uśmiechnął się do niej i dodał: — Gdybyś się domyślała, jak bardzo ciebie pragnę, nie ośmieliłabyś się prowokować mnie tak jak dziś!

Diana przełknęła głośno ślinę.

— Cóż w tym złego? Jesteśmy sami, jesteśmy dorośli... — Jej głos załamał się nagle, a oczy opuściła tak, aby nie mógł w nie zajrzeć.

— Po pierwsze — rzekł sucho — czy używasz pigułek? — Na jej gniewny ruch głową skrzywił się.

— Widzisz, to jest właśnie twoja bezmyślność. Ja z pewnością na twoim miejscu nie ryzykowałbym z takim zabezpieczeniem i, chociaż nie mogę mówić za ciebie, mam ponadto silne opory dotyczące poczęcia niechcianych dzieci. Jest ich już zbyt dużo na tym świecie. — Przerwał. — Czy to wystarczy?

Po tym wykładzie Diana nie spojrzała nawet na niego, czując się upokorzona. Jego sarkazm ranił. To nie zdrowy rozsądek tych ostrych słów uraził ją, lecz nagła obawa, że Ramon pogardza nią za tę ofertę, jaką mu złożyła. Oboje dopiero niedawno się spotkali i mało wiedzieli o sobie. Czy Ramon myśli, że ona ma zwyczaj postępować tak z każdym mężczyzną?

Wyrwał ją z tych rozważań, klnąc głośno po portugalsku.

— Nie posądzam cię, że zrozumiałaś choćby połowę z tego, co mówiłem... — Przyciągnął dziewczynę do siebie i pocałował raz jeszcze mocno i namiętnie, po czym wyprostował się i przygładził ręką włosy. — Powinniśmy raczej położyć temu kres, zanim zupełnie stracę panowanie nad sobą — powiedział. — Im prędzej wrócimy do wioski, tym lepiej.

Podniósł swój śpiwór i rzekł: — Chodź, prześpijmy się trochę; to najlepsza rzecz, jaką możemy zrobić. — Był już opanowany i prawie po staremu ironiczny.

Kiedy Diana wróciła z lasu, Ramon leżał już w śpiworze, zwrócony do niej plecami. Mogła widzieć go tylko dzięki przygasającemu ognisku. Cofnąwszy się dalej w mrok, szybko zdjęła spodnie i zdenerwowana wpełzła do swojego śpiwora. Jeszcze jedna noc... Pomyślała, że są dwa powody, dla których nie będzie jej brakować lasu po powrocie do wioski: obawa przed ugryzieniem przez skorpiona oraz brak umywalni.

Biwakowali na łuku piaszczystej wydmy, która pełniła rolę tak wygodnego łoża, jakiego nie mieli podczas poprzednich nocy. Rzeka toczyła powoli swe wody poniżej ich stóp, migocąc w świetle księżyca. Podobny do sowy ptak pohukiwał gdzieś w lesie, a z przeciwnej strony rzeki odpowiadał mu drugi, budząc echo po obu brzegach. Mgła nad rzeką zniknęła prawie bez śladu. Była to noc romansów i miłości — ale nie dla Diany.

„Mógł chociaż powiedzieć mi dobranoc — myślała rozgryczona — zamiast leżeć tam, ostentacyjnie odwrócony do mnie plecami!” Złościła się na niego, ale ta złość ustępowała poczuciu porażki. „Co się ze mną dzieje? — pytała siebie Diana. — Dlaczego nie mogę być rozsądna? On ma rację! Nie rozumiem go, jest mi obcy jak Marsjanin. Jego kultura i poglądy na życie różnią się tak bardzo od moich, że nie moglibyśmy nigdy dojść do porozumienia. Mogę kochać dzikie pustkowia, ale to wcale nie znaczy, że muszę przepadać za pół dzikim Brazylijczykiem z dżungli”

Nawet mówiąc sama do siebie, czuła, że jej argumentom brakuje siły przekonywania. Ramon posiadał inteligencję i charakter, co sprawiało, że wszyscy inni mężczyźni wydawali się słabi i mało atrakcyjni w porównaniu z nim. Jej rozumowanie kręciło się w błędnym kole, wynik nie mógł być pozytywny, skoro powiedział jej jasno, że nie chce być z nią związany. To było przyczyną tego, że czuła się nieszczęśliwa; to najbardziej ją bolało. Nic nie znaczył fakt, że starała się o tym zapomnieć; wszystko o czym mogła myśleć, to o jego pocałunkach i obejmujących ją mocnych ramionach.

Coś się w niej jednak zmieniło. Przedtem może byłaby w stanie przejść nad tym do porządku, ale teraz musiała uznać jego przewagę. Kochała go miłością głupią i szaloną — być

może — ale prawdziwą. Nie myślała, co to może znaczyć, nie była gotowa układać planów na przyszłość. Nie pozwalała sobie nawet marzyć, że on odwzajemni jej uczucia pewnego dnia.

Ramon podkreślił, że pochodzą z dwóch różnych światów! Kochała tutejszy świat, ale to nie znaczyło, że mogłaby żyć z nim i dzielić jego życie.

Ale jakie znaczenie miała przyszłość? Nie dbała o to teraz. — Dlaczego nie mogliby żyć chwilą, jak gdyby jutro nie istniało? Tęsknota, jaką czuła podczas nieobecności Ramona, czyniła jej dotychczasowe życie niegodnym rozpamiętywania. Już nie sądziła, że miłość to iluzja.

"Och, Ramonie, coś tym mi zrobił" — myślała wzdychając.

Pewna była, że Pires już śpi, ale wtedy właśnie zapytał:

— Co ci dolega?

— Nic — zamruczała niewyraźnie.

Odwrócił się, opierając na łokciu, by spojrzeć na nią.

— Nie ma sensu udawać. Godzinami kręcisz się i rzucasz.

— Przepraszam. — Westchnęła, tym razem świadomie.

— Czy to ja cię obudziłam?

— Można by tak powiedzieć. — Jego oschła odpowiedź wydawała się celowo dwuznaczna. I w tym momencie westchnął rozpaczliwie, naśladując Dianę. Przynął się i objął ją ramionami. — Żadne z nas nie zmruży oka, prawda?

— Przykro mi — powiedziała, kładąc głowę na jego pierś, zadowolona, że znajduje się w jego ramionach raz jeszcze, chociaż bolało ją, że nie trzyma jej mocniej i nie postępuje z nią tak, jakby tego pragnęła.

— Nie, to ja przepraszam, nie zamierzałem powiedzieć nic przykrego — odpowiedział Ramon, głaszcząc ją po

włosach. — Ale teraz musisz już zasnąć, żebym i ja mógł się trochę przespać.

— Spróbuj! — obiecała Diana, układając się bliżej niego. Nie wystarczało to dla zaspokojenia jej pragnień, ale było lepsze niż nic. Wspomnienie, że spała całą noc w jego ramionach, będzie mogła chować w sercu. Czerpiąc z jego bliskości ciepło i ulgę, słuchając mocnego bicia jego serca, wreszcie usnęła.

Obudziła się o mglistym, białym świcie, gdy Ramon delikatnie wysuwał się ze śpiwora. Była oszołomiona, jakby jeszcze we śnie. Uśmiechnął się do niej przełomie, pocierając swój podbródek, pokryty gęstym, ciemnym zarostem.

— Było bardzo miło tak spać. — Uśmiechnął się. — Ale złapał mnie piekielny skurcz.

Dziewczyna usiadła, potrząsając głową, by spłoszyć resztki snu. Pires wstał, włożył spodnie i koszulę. Diana przyglądała się temu zdziwiona, rozkoszując się intymnością tej sytuacji, wdzięczna, że są znów sobie bliscy. Ciągłe jednak pragnęła czegoś więcej...

— Ramon... — zaczęła niepewnie. Chciała dotrzeć jakoś do niego, przekazać mu swoje myśli, przełamać wreszcie ostatnie bariery między nimi.

— Tak? — Podszedł bliżej i przyklęknął blisko niej, uśmiechając się pogodnie. W ciepłe jego spojrzenia czuła się bezbronna. — Co chciałaś, moja droga?

Zamknęła oczy niezdolna nic powiedzieć. Podniósł do ust jej rękę i pocałował.

— No proszę, powiedz, co chciałaś mi powiedzieć!

Przełknęła ślinę, a potem spojrzała mu odważnie w oczy raz jeszcze.

— Po prostu nie mogę się przemóc, aby ci nie powiedzieć, jak bardzo chcę, żebyś mnie kochał, naprawdę! Nie dbam o

ryzyko... i w każdym razie myślę, że to będzie bezpieczne teraz...

— Nie! — Zaklął gwałtownie, puszczać jej dłoń; potem wciągnął głęboko powietrze i uspokoił się. — Przebacz mi, ale ty wystawiłabyś na ciężką próbę nawet świętego! — Westchnął, biorąc ją znów za rękę. — Nie mów mi o bezpiecznych okresach: jestem katolikiem i mógłbym opowiedzieć ci więcej historii o rodzinach, które stosowały tę metodę aż do urodzin dwunastego dziecka, niż uznałabyś to za wiarygodne! Musisz zrozumieć, że po powrocie do swego środowiska wszystkie te uczucia wydadzą ci się szalone i wtedy poczujesz ulgę, że je zwyciężyłaś. Ja nie chcę zamać twojego życia!

— Ale ty nic nie rozumiesz! — krzyknęła. — To jest moje otoczenie i nie dbam, jeśli nigdy nie wrócę do Anglii! — Przekonać Ramona było zadaniem ponad jej siły. Wiedziała o tym, ale ciągle jeszcze próbowała. Musiała tak postępować, ponieważ pragnęła go bardziej niż kogokolwiek do tej pory. — A co do mego życia — dodała buntowniczo — to już jest zamać.

— Nie możesz zostać w Parku, to jest pewne — oświadczył Ramon stanowczo. — Żenię się wkrótce, a gdybym chciał mieć kochankę, czego wcale nie pragnę, to wybrałbym kogoś bardziej odpowiedniego niż ty.

Łzy zapiekły ją pod powiekami. Był tak brutalny.

— Masz na oku jedną z twoich squaws, jak przypuszczam. — Odpłaciła mu pięknym za nadobne, a potem odwróciła się, zbyt wzburzona, żeby kontynuować tę kłótnię.

Ożenek! Co zamierzał i dlaczego nigdy nie napomknął o tym ani słowem? Dlaczego nie wspomniał o tym wcześniej, zanim pozwolił jej, żeby zrobiła z siebie idiotkę? Czuła się głęboko upokorzona. Wyjaśnił jej dosadnie, co czuł do niej,

a raczej: czego nie czuł. Żądza, a nie miłość — oto, co go niepokoiło. Głupotą z jej strony była myśl, że mogło to być cokolwiek innego!

— Mam nadzieję, że nie myślałaś tego, co powiedziałaś — oznajmił nagle Ramon z goryczą.

— Nie — wyszeptała. — Ale nie musiałeś być tak szorstki wobec mnie. Jeśli zamierzasz się ożenić... powinieneś być powiedzieć mi wcześniej...

— Wiem. — Jego oczy były dziwnie puste. — To był błąd z mojej strony. Przykro mi! Teraz staram się mówić prawdę... — Westchnął, ściskając dłoń Diany i obejmując ją ramieniem. — I musisz przyznać, że mówię rozsądnie.

— Mój rozsądek opuszcza innie — podniosła głowę, by spojrzeć mu w oczy — gdy coś dotyczy ciebie.

— Wróci ponownie — odparł sucho — kiedy dotrzemy do wioski. Kiedy znajdziesz się tam, będziesz się zastanawiać, czy sobie tego wszystkiego nie wymyśliłaś.

Pochylił się i pocałował ją lekko w usta, a potem wstał. Zaciśnął zęby i pośepny cień przemknął mu po twarzy.

— Tak chcę — dodał i, zmieniając ton, dorzucił: — Idę rozpalić ognisko. Musimy coś zjeść i odpłynąć, żeby wrócić do wioski wieczorem.

Ubrała się i przyłączyła do śniadania złożonego z kawy i paru pozostałych jeszcze biszkoptów. Ryb nie warto było już łowić, żadne z nich nie było głodne. Oboje zachowywali się spokojnie. Dianie przypomniawszy ostami dzień letnich wakacji, kiedy była dzieckiem i nienawidziła szkoły. W takim dniu wszystko, co dobre i miłe, kończyło się wraz z latem...

„Kogo Ramon zamierzał poślubić — dumiała Diana. — Josité? Gniewał się niedawno na Boba, że jej asystował!”

Miała ochotę zapytać o to Ramona, ale zabrakło jej odwagi.



Odpłynęli wkrótce w białej mgłę, dryfując przez tajemniczy świat. Żegnała ich czapla, która zdawała się strzec kłody na brzegu rzeki. Nadciągnął chłód, dorównujący temperaturze uczuć Diany. Wkrótce jednak wzeszło słońce, rozpraszając mgłę i ożywiając posępne kolory krajobrazu. Ciągłe jeszcze mieli jeden wspólny dzień przed sobą i to pocieszało nieco dziewczynę. Starła się przywołać swój dobry humor, gdy zatrzymali się, by zjeść lunch na małej, dzikiej plaży.

Pires ustrzelił dwa chude ptaki wodne, stanowiące pożądane urozmaicenie ich jadłospisu, w którym królowały dotychczas ryby. W czasie gdy Ramon piekł ptaki, Diana wyruszyła na ostatnią małą wycieczkę.

— Pamiątki? — zapytał, kiedy skrzyżowawszy nogi usiadła naprzeciwko niego, segregując zerwane na spacerze roślinki.

— Można tak to nazwać — odparła.

— Być może wrócisz tu znów pewnego dnia i wybierzesz się w inną podróż rzeką Suia Missu. — Podsycił ogień patykami, mrużąc lekko oczy przed blaskiem ogniska.

— Miałbyś coś przeciwko temu? — spytała cicho.

— Nic, jeśli obiecasz, że weźmiesz ze sobą przewodnika.

Znaczyło to, że nie wybierze się już z nią nigdzie! Pomyślała ze smutkiem, że i ona nigdy nie popłynie rzeką Suia Missu, bo nie wróci nigdy do Brazylii. Nie było sensu męczyć się jeszcze raz!

Tym razem zrezygnowali ze sjesty po posiłku, siadając do wioseł. O trzeciej po południu zobaczyli przelatujący nad ich głowami samolot. Pilot zauważył kanu i wykonał brawurowe okrążenie nad nimi, przechylając się na jedno skrzydło. Była to ta sama stara cessna, którą Diana przyleciała do Parku.

W niecałą godzinę później usłyszeli odgłos motorówki płynącej w ich kierunku. Wkrótce duża, hałaśliwa łódź ukazała się zza zakrętu.

— Ratunek! — Ramon uśmiechnął się. — Przyznaj się — marzysz o zmianie ubrania i umyciu włosów?

— Tak! — Skinęła głową, mrugając, by powstrzymać łzy, które niespodziewanie pojawiły się w jej oczach. — Oczywiście!

Spoglądała na łódź, która zbliżała się szybko, mącąc spokój rzeki. Dopiero gdy motorówka była już koło nich, zobaczyła Boba, siedzącego przy burcie i machającego do niej rękami w radosnym podnieceniu.

Ramon zatrzymał kanu jednym ruchem wiosła i wykrzykiwał słowa powitania do Felipe prowadzącego motorówkę.

— Jak się tu znalazłeś? — wrzeszczał wesoło. — Przez pomyłkę, szukając Amazonki?

— Czy naprawdę chciałeś zostać uratowany? — kpił Felipe, spoglądając znacząco na Ramona i Dianę i zatrzymując łódź. — Sądziliśmy, że na pewno nie za szybko!

Policzki Diany zapłonęły, ale Ramon zręcznie opanował sytuację. — Nie miałem szczęścia — odparł. — Może powinienś dać mi więcej czasu...

Bob, przechylając się do przodu, wyciągnął rękę do Diany, żeby pomóc jej wsiąść do motorówki. Spoglądał to na nią, to na Piresa, jakby chciał z ich twarzy wyczytać całą prawdę.

Tymczasem Pires przymocował mocną linę do czołna, tak, żeby motorówka mogła wziąć je na hol, a następnie przeskoczył zwinnie do łodzi. Usiadł na ławce naprzeciw Diany i Boba, Felipe zaś uruchomił silnik i zawrócił motorówkę szerokim łukiem. Popłynęli z powrotem w dół rzeki.

— No i jak było? — pytał Bob. — Gdzieście byli?

Diana spojrzała bezradnie na Ramona.

— Najpierw musi pan opowiedzieć nam, co się zdarzyło we wsi podczas naszej nieobecności — poprosił Pires spokojnym tonem, w charakterystyczny dla siebie sposób przeciągając samogłoski.

— Akcja się udała — krzyknął Felipe przez ramię. — Policja nakryła wszystkich, ale możesz sobie wyobrazić — zrobił wymowny ruch rękami — kiedy nie znaleźli nigdzie śladu waszej obecności, wszyscy baliśmy się ogromnie o wasze bezpieczeństwo. Już myśleliśmy, że zostaliście zamordowani.

— Prawie tak się o mało co nie stało! — przyznała Diana.

— Wróciliśmy jednak zdrowi i cali, jak sami widzicie — rzekł Ramon, poprawiając rondo kapelusza.

— Jak to się mówi: wszystko dobrze, co się dobrze kończy!

Diana odwróciła się, by spojrzeć na pozostającą za nimi rzekę. Udawała, że podziwia parę kaczek wzbijających się właśnie w powietrze, ale właściwie nie widziała ich wcale. Kiedy odwróciła się z uśmiechem do Boba, nikt nie zgadłby, że przed chwilą była bliska płaczu.

## ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Po powrocie Diany i Ramona do wioski doktor Domingo przebadał ich dokładnie i orzekł, że ich zdrowie jest w dobrym stanie. Stwierdził jednak, że Diana wygląda na wyczerpaną i powinna odpocząć.

Zamiast posłuchać lekarza, dziewczyna wypytywała dokładnie Boba, co działo się w wiosce podczas jej nieobecności. Dowiedziała się o akcji policji i poszukiwaniach zarówno jej, jak i Ramona, które koncentrowały się przede wszystkim wokół szczytu góry. Również ludzie, którzy organizowali przerzuty narkotyków ze stolicy kraju, zostali zatrzymani, a Gil Morel, jakoby wprowadzony w błąd, przyznał, że nie było ani słowa prawdy w jego oszczerczych zarzutach przeciwko Ramonowi.

Kolacja była tej nocy wyjątkowo uroczysta. Podano gorące, pikantne kurczęta ze spaghetti i zielony groszek, a także czerwone wino. Bob był już zaprzyjaźniony z zebrany towarzystwem i czuł się zupełnie jak w domu, ale Diana musiała zmuszać się, by udawać, że jest w doskonałym nastroju. Jedzenie było dobre, ale zbyt obfite; wino także nie było złe, ale przyprawiało o ból głowy. Starła się włączyć do ogólnej wrzawy i radości, ale było to bardzo męczące.

Wróciła więc dość wcześnie do swego pokoju w chacie, zbyt znużona, żeby zostać i grać w karty z Bobem i Josita. Ramon udał się do biura natychmiast po kolacji.

— Z powrotem do papierkowej roboty — wyjaśnił, opuszczając rozbawione towarzystwo.

Miała nadzieję, że spotka go jeszcze wracając do siebie. Spostrzegła po drodze światło w biurze, ale stopy były całkowicie spuszczone, tak że nie mogła zobaczyć, co robił Ramon. Być może, spodziewała się, że będzie leżał w oczekiwaniu na nią, marząc o takiej intymnej chwili we dwoje. Kiedy jednak wyciągnęła się w chacie na swoim łóżku — musiała ze smutkiem przyznać się do swej naiwności.

Czyż Ramon nie powiedział jej, że po powrocie wszystko, co zaszło między nimi, wydawać się będzie tylko iluzją? Obserwowała go skrycie przy kolacji. Był taki jak poprzednio, trochę obojętny, chłodny, mało mówny. Nie okazywał szczególnych względów Josicie, ale na nią — na Dianę — także nie zwracał uwagi, jakby wymazał z pamięci wspólnie spędzony czas i Diana nic dla niego nie znaczyła.

Teraz była zadowolona, że Bob nie wrócił razem z nią. Jeszcze jej nie zapytał wprost, jak mocno związała się z Piresem, ale to pytanie unosiło się nad ich głowami. Przy kolacji Bob nie spuszczał ich prawie z oka.

Prześcieradła na łóżkach w chacie były bawełniane, ale wydawały się delikatne niczym z jedwabiu, po jej szalonej eskapadzie.

\*

Cudownie było być czystą, leżeć w wygodnym łóżku zabezpieczonym moskitierą, z łagodnie wirującym wachlarzem, chłodzącym jak wentylator. Była bardzo zmęczona, ale sen długo nie przychodził. Myślała nadal o Ramonie, stał się jej tak bliski, jakby był częścią jej życia.

Wahała się użyć słowa „miłość”, nawet w najskrytszych marzeniach, ale jeśli nie było miłością to, co czuła, to uczucie takie było czymś bardzo do niej zbliżonym.

Następny ranek spędziła usiłując przepisać swoje notatki. Po raz pierwszy słowa nie przychodziły jej łatwo. W grę wchodziło zbyt wiele osobistych przeżyć. Jakże mogła pisać o Parku, pomijając Ramona i swoje uczucia do niego? Znużona i zniechęcona zaniechała na razie pisania.

Kiedy przechodziła obok biura, zmierzając do wspólnej jadalni na obiad, w drzwiach ukazał się Pires i zaprosił ją do środka.

— O co chodzi? — zapytała, starając się okazać obojętność.

— Czy jesteś zajęta dziś po południu?

— Nie — odpowiedziała, a w serce zawitała nadzieja. — Czemu o to pytasz?

— Josita ma pacjentkę z plemienia Xavante, młodą kobietę, którą leczy. S4dzi, że może miałabyś ochotę pojechać z nią. Jej rodzina rozbiła obóz około pół mili w dół rzeki.

— Ty też tam jedziesz? — spytała od niechcienia.

— Nie — odparł obcym jakby głosem; oczy miał bez wyrazu. — Mam dużo spraw do załatwienia.

Odeszła rozczarowana. Wyjazd z Josita był interesujący, ale jeśli przedtem ciężko było Dianie na sercu, to po tej rozmowie było jej jeszcze gorzej.

W drodze powrotnej obie dziewczyny z ożywieniem rozmawiały. Josita wyglądała wyjątkowo pięknie. Kiedy słońce przefiltrowane przez liście drzew padało na czarne warkocze upięte dokoła głowy w koronę przypominała madonnę. Diana czuła się wielka i niezgrabna, idąc koło drobnej, niskiej dziewczyny. Jej nastrój pogarszał się z każdą chwilą, gdyż Josita zdawała się być zdecydowana nie mówić o nikim innym poza Ramonem: jaki był wspaniały, jaki dzielny, silny, zaradny!

Niezdolna już słuchać tego dłużej, Diana zmieniła temat pytając:

— A co z doktorem Domingo... on musi być już niemłody i nigdy nie był żonaty?

— Nie! — Josita spojrzała na nią bystro. — Tomas — ciągnęła szorstko — mógłby wziąć kilka lekcji od Ramona. Jest dobrym lekarzem, ale nie ma wiary w siebie. A kiedy chodzi o kobiety, nie ma zupełnie rozsądku.

— Lubię doktora — rzekła Diana. — jest przynajmniej grzeczny... W tej dziedzinie to on właśnie mógłby nauczyć Ramona niejednej rzeczy.

Josita zaśmiała się, ale wyraz rozczenia nie zniknął z jej oczu.

— Wiem, że on był niegrzeczny dla pani na początku, ale nie trzeba go za to winić. Kiedyś pewna kobieta zraniła go bardzo. Była cudzoziemką, jak pani. To sprawiło, że został cynikiem i nie ufa kobietom. Ale teraz już o tym zapomniał, jak mi się zdaje, a raczej, o ile wiem... — Uśmiechnęła się serdecznie do Diany, a na jej dziecinnej buzi ukazały się dwa zabawne dołeczki. — Nie wolno mi mówić nic więcej... Mnie polubić też nie chciał — dodała.

Brzmiało to, jakby Josita miała nadzieję, że Diana będzie chciała usłyszeć coś więcej, ale Diana dość niezręcznie zmieniła temat rozmowy. Josita — jej zdaniem — była najwidoczniej zakochana w Ramonie, a jeśli byli zaręczeni potajemnie — to ostatnią rzeczą, jakiej mogła pragnąć, była pogawędka o tym!

„Jakże głupia byłam, myśląc, że Ramon mógł woleć mnie!” — Te słowa powtarzała sobie Diana, niczym uprzykrzony refren przebrzmiałej piosenki... Nie ukrywał przecież od początku, że choć uznał ją za pociągającą seksualnie

— wcale nie pragnął traktować jej poważnie. Dlaczego nie przejęła się jego słowami i nie oszczędziła sobie bólu?

Prawdziwą ulgę odczuła dopiero wtedy, gdy dotarły wreszcie do wioski — bez imienia Ramona na ustach Josity!

Tego wieczoru Bob potwierdził wszystkie obawy Diany. Zaczęło się od żartu Diany dotyczącego pary: Bob i Josita.

— Jesteśmy tylko zaprzyjaźnieni — zaprotestował. — Powiedziałem ci już wcześniej, że ona nie jest w moim typie.

Siedział, swoim zwyczajem, na stole przeglądając z ponurą miną starą gazetę brazylijską i patrząc krzywo na dziewczynę stojącą w drzwiach kuchenki.

— Nawet gdybym ją chciał, to nic by z tego nie było. Ona woli kogoś innego.

— Kogo? — spytała Diana z wystudiowaną niedbałością.

— Słuchaj, kochanie, kogo u diabła, podejrzewasz? Mnie Josita nie chce nic powiedzieć, ale tu jest tylko jeden chłop w okolicy, który przyciąga baby jak miód pszczoły — i to na pewno nie jestem ani ja, ani doktorek!

Diana bezradnie rozłożyła ręce.

— Przykro mi, Bob — powiedziała. — Różne rzeczy nie ułożyły się nam tutaj po naszej myśli, prawda?

— To nie nasza wina — odparł kiwając głową i z wysiłkiem uśmiechając się. — I ja domyślam się, że twoje sprawy też nie idą zbyt dobrze. Przynajmniej pozornie tak to wygląda.

Wyszczerzył zęby w uśmiechu przypominającym raczej żałosny grymas.

— Czasami widzisz za dużo!

— Nie szkodzi, przynajmniej masz moje ramię, na którym możesz się wypłakać, jeśli będziesz tego potrzebowała.

Diana odetchnęła z ulgą, że nie musi przed Bobem niczego już udawać. Szczególnie była z tego zadowolona w ciągu



następnych czterech dni. Ramon pojechał znów do Barra do Garcas, zabierając ze sobą Jositę, a Diana i Bob pozostali, zdani na własne towarzystwo. W tym czasie ogarnęło ją ogromne znużenie. Próbowwała przesy피아ć nudne popołudnia, ale budziła się z ciężką głową i jeszcze bardziej wyczerpana. Bob martwił się o nią, ale udawała, że to ciągle jeszcze reakcja po przebytych szoku w górach. Było to tylko częściowo prawdą. Jedyne co pragnęła robić, to leżeć na łożku i wspominać chwile spędzone z Ramonem. Był to niewątpliwie rodzaj choroby, ale Diana nie mogła — a może nie chciała — otrząsnąć się z tego stanu.

Pires przesłał wiadomość, że samolot zabierze gości w sobotę rano. Tak więc, kiedy nadszedł czwartkowy wieczór, dziewczynę opanował żal i lęk, że nie zobaczy ukochanego w dniu odlotu. Cały czas była w bardzo złym nastroju; wtedy właśnie, gdy siadała z Bobem do kolacji, okazało się że Ramon i Josita wrócili już do wioski. Maria, niczym troskliwa kokoszka, natychmiast wniosła dwa pełne talerze z tradycyjnymi stekami z drobiu.

— Czy ostatnio byliście nadal zajęci? — zagadnął uprzejmie Ramon Boba, po czym zwrócił się do Diany.

— A co u pani, miss Taylor? — zapytał z półuśmiechem, chociaż wyraz jego twarzy zmienił się nieznacznie, gdy zauważył bladłość dziewczyny. — Wierzę, że czuje się pani dobrze?

Spojrzała na niego przygryzając wargę. Wydawało się jej, że oczy wszystkich stołowników są zwrócone ku niej, jak gdyby każda z tych osób czytała w jej myślach i współczuła jej głupocie.

— Ależ tak, oczywiście — rzekła.

— To dobrze, ponieważ obiecałem Kiaru, że zabiorę panią, żebyście mogli się pożegnać, a ponieważ opuszcza nas pani w sobotę, musimy wyruszyć jutro.

— Och... — odparła tak spokojnie, jakby ta propozycja mało znaczyła dla niej. — Kiedy zamierza pan wyruszyć?

— Po lunchu. — Po chwili dorzucił: — Weźmiemy kanu, a Jose pojedzie ciężarówką. — Co pan na to? — zwrócił się z kolei do Boba. — Czy chce pan jechać?

Hutchkins spojrzał pytająco na Dianę.

— Czy potrzebujesz mnie?

Wzruszyła ramionami.

— To zależy od ciebie.

— Zostanę więc tutaj i utnę sobie drzemkę!

Ramon ponownie zwrócił się do dziewczyny.

— Proszę zabrać kostium kąpielowy, może trochę popływamy w drodze powrotnej.

Nie widziała się już więcej z Ramonem ani wieczorem, ani rankiem następnego dnia, ale o uzgodnionej godzinie był gotowy.

Tym razem nie czuła bicia serca, kiedy zobaczyła tak dobrze znaną sylwetkę mężczyzny o szerokich ramionach, chudych nogach, z torbą kołyszącą się na ramieniu i zniszczonym sombrero na głowie. Zatrzymał się przy niej z uśmiechem i obrzucił zachwyconym spojrzeniem.

Diana ubrana była w czyste, zwykłe spodnie z bawełny i prostą bluzę z długimi rękawami. Wzięła też słomkowy kapelusz.

— Wyglądasz dziś czarująco — rzekł. — Kiaru będzie mi zazdrościł raz jeszcze.

Ta uwaga i przeciągłe spojrzenie, które towarzyszyło słowom uznania, wywołały nikły rumieniec na policzkach Diany.

— Czy czujesz się dość dobrze, żeby jechać? Wyglądasz odrobinę blade! Pomimo zapewnień Tomasa nie jestem w stu procentach przekonany, że jesteś w najlepszym zdrowiu.

— Czuję się w porządku — odparła z determinacją. — Nie ma powodu, żeby się martwić.

Ich pierwsza wyprawa do Xingu była krótka, hałaśliwą jazdą w ciężarówce — ta dłuższą, ale spokojniejszą wycieczką w kanu.

Rozmawiali ze sobą niewiele; Ramon był małomówny, a Diana drzemała w ciepłe słońca.

Zatrzymali się na parę godzin w indiańskiej wiosce i pogawędzili raz jeszcze z Kiaru. Potem nastąpiło serdeczne pożegnanie. W drodze powrotnej, zgodnie z propozycją Ramona, wyciągnęli czółno na piasek szerokiego brzegu rzeki. Ciągłe jeszcze było bardzo gorąco i choć Diana nie przyznawała się do tego — czuła się naprawdę niezwykle zmęczona.

— Teraz trochę popływamy — oznajmił Ramon, kiedy wydostała się z czółna. — Czy jesteś gotowa?

Było jej gorąco i duszno, za niczym też bardziej nie tęskniła, jak za kąpielą — pod warunkiem, że będzie sama, że Ramon nie zechce jej asystować. Czy zapomniał już, co się zdarzyło, kiedy ostatnim razem pływali we dwoje? Czy znowu chciał ją umyślnie dręczyć? Nagle zrozumiała, że nie dba już więcej o to! Odpowiedziała więc twierdząco.

Przebrała się w cieniu drzew i kiedy wyszła na brzeg, on był już w wodzie, w ładnych, czarnych szortach.

Jeśli Diana lękała się jakichś kłopotów, to zachowanie Piresa rozproszyło jej obawy. Możliwe, że jego spojrzenie zatrzymało się raz i drugi nieco dłużej na jej figurze w pięknym, żółtym kostiumie, ale zachowywał się tak, jakby pływanie było wszystkim, co go naprawdę interesowało.

Później usiedli oboje — niezbyt blisko — na rozgrzanym słońcem piasku. Diana suszyła ręcznikiem włosy, a potem odwróciła się twarzą ku słońcu.

— Przywiozłem trochę brzoskwiń — odezwał się Ramon po długim milczeniu. — Zjemy je, kiedy się ubierzesz. — Odszedł, żeby się przebrać dyskretnie za kępą drzew. Dziewczyna czekała chwilę. Piasek był miękki i ciepły, a ona miała wielką ochotę przespać się choć trochę. Była tak zmęczona! Po kiego licha miała mu asystować? Nie była w stanie sprawić, żeby się w niej zakochał.

Z westchnieniem wstała i poszła się ubrać na uboczu. Kiedy mężczyzna wrócił, położył paczkę na piasku, koło dziewczyny, a potem sam usiadł obok.

— Przyniosłem też trochę wina — powiedział, pokazując z uśmiechem butelkę i nalewając dla niej wino do blaszanego kubka z kwiatkiem.

— Jesteśmy tu oboje, a więc opijmy nasze przygody!

Przyjęła kubek i uśmiechnęła się blado, niepewna, co z tego toastu wyniknie.

— Ciagle wydaje mi się dziwne, gdy myślę, co stałoby się, gdybyś nie udźwignęła tego odłamka skały. Nie byłoby mnie już wśród żywych — rzekł z namysłem, nalewając sobie wina. — Miałem szczęście, że jesteś równie zaradna, jak piękna!

— Tak, to ja! Superkobieta do akcji ratunkowych — odrzekła, lekko zażenowana i zmieszana komplementem. Do czego zmierzał Ramon?

Nerwowo poprosiła o brzoskwinie. Podsunął jej paczkę wyjętą z torby, potem pochylił się, żeby napełnić winem jej pusty już kubek.

— Nie chcę więcej wina! — zaprotestowała. — Ono idzie mi do głowy.

— To nie boli! — odparł ignorując ją. — Możesz się przespać potem w kanu, to ci dobrze zrobi. — Dopełnił jeszcze swój kubek i usiadł bokiem zajądając brzoskwinie, z obojętnym wyrazem twarzy.

Diana jadła powoli owoc, ale potem nie mogła sobie przypomnieć, czy jej smakował? Zastanawiało ją, dlaczego Ramon zatrzymał się właśnie tutaj; o co mu chodziło? Jego uczucia nie zmieniły się... a może tak? Miał do niej słabość — to wszystko — ale nie kochał jej. Będąc tu igrała z ogniem. Jeżeli sprawy pójdą za daleko, jeżeli Ramon wypije za dużo i utraci kontrolę nad sobą, nikt nie stanie w jej obronie. Czy to właśnie obmyślił sobie?

— Ruszajmy lepiej z powrotem — powiedziała gwałtownie.

— Po co się spieszyć? — Spojrzał na nią z irytacją. — Nie skończyłaś nawet jeszcze swojego wina.

Spojrzała na kubek.

— Nie mam już ochoty — oświadczyła.

— Dlaczego? — I nagle wpadł we wściekłość. — Co jest z tobą? Myślisz, że chcę cię upić naumyślnie, tak?

Nie chciała przyznać się, że tak właśnie sądzi. Odparła więc chłodno: — Nie, oczywiście, że nie! Nie jestem taka głupia.

— Nie jesteś? — Zmrużył oczy. — W każdym razie, czemu miałbym częstować cię winem? Byłaś chętna przedtem, więc skoro chcę cię teraz...

Oblizwała wysuszone usta.

— Teraz nie jestem już chętna — odparła z ironią. — I nie lubię tego rodzaju uwag. Może ty powinieneś uważać, ile pijesz!

Zamilkła, gdy patrzył na nią ponuro przez kilka sekund, po czym jego gniew wyparował i pokiwał tylko smętnie głową.

— Być może masz rację. — Odchylił się i patrzył w dal.  
— Przykro mi, zapomnijmy o tym, co mówiłem, dobrze?

Spojrzała na niego z ukosa jak obrażone dziecko, a potem westchnęła. Podniosła kubek i pociągnęła głęboki łyk. Kłótnia byłaby bezsensowna. Przymknęła na moment oczy, wkrótce jednak otworzyła je znowu. Po winie zaczynała być sentymentalna i płaczliwa. Potrząsnęła więc energicznie głową, jakby chciała wyzwolić się spod działania alkoholu.

— Mnie również jest przykro. Nie zamierzałam wszczy-  
nać kłótni — oświadczyła ostatecznie.

— Nie potrzebujesz przeproszać — powiedział Pires zim-  
no. — Było głupotą z mojej strony robić takie uwagi, a  
przybyć tu samemu z tobą, to wyzywać los.

Rzuciła okiem na Ramona. Siedział w swojej ulubionej  
pozie, z podkurczonymi kolanami i skrzyżowanymi ramio-  
nami. Ściągnięte brwi tworzyły pionową zmarszczkę po-  
środku czoła. Starannie ogolony, nie wyglądał już jak pirat,  
jakim go zapamiętała z ich wędrówki.

Był to jednak wciąż ten sam Ramon, ze swoimi nieregul-  
arnymi, ostrymi rysami, nie „przystojny”, ale mimo to fa-  
scynujący. Ilekroć spojrzała na niego, czuła kłucie w sercu.

— Lepiej ruszajmy stąd — odezwał się niespodziewanie  
Pires, patrząc uważnie na dziewczynę.

— Okay! — Diana z trudem kontrolowała swój głos. Im  
prędzej wrócą, tym lepiej. Nie dlatego, że nie pragnęła już  
Ramona tak mocno, jak poprzednio. Wiedziała jednak, że  
jeśli dzisiaj kochałby się z nią, byłby po prostu mężczyzną  
potrzebującym kobiety. Nie mogła zgodzić się na taką sytu-  
ację. Lepiej, żeby odeszła jutro i nigdy już go nie widziała.

— Chcę wrócić wcześniej — dodała, gdy pchali kanu z  
powrotem na wodę. — Nie spakowałam jeszcze wszystkich

rzeczy, a mówiłeś przecież, że samolot ma przylecieć jutro rano.

Własny głos, tak spokojny i rozsądny, zdumiewał Dianę. „Miałabym może niezłą przyszłość jako aktorka” — pomyślała.

— Dobrze. — Ramon zaczął wiosłować w posępnym milczeniu. Upał trwał nadal i Diana poczuła wkrótce dotkliwy ból głowy, który przypisała wypitemu wina. Podróż w tamtą stronę była drogą nadziei, jakkolwiek nieuzasadnionej, ale powrót rozwiązał jej złudzenia ostatecznie. Od czasu do czasu usiłowała nawiązać jakąś rozmowę, ale Ramon był ponury i prawie się nie odzywał.

Gdy zbliżali się do wioski, Diana gorączkowo pragnęła, żeby ta podróż wreszcie się skończyła. Ale mimo to jeszcze liczyła, że zdarzy się cud. Zanim zacumowali czółno, zapadł już mrok.

— Spodziewam się, że nie jesteś zbyt zmęczona? — spytał przyglądając się Dianie, kiedy stali obok czółna. Z jego głosu zniknął lodowaty chłód.

— Nie — odpowiedziała automatycznie, chociaż była ogromnie znużona.

— Jesteś bardzo blada — dodał wyraźnie zatroskany. — Kiaru zauważył to; martwi się o ciebie.

— Nie, serio! — Potrząsnęła przecząco głową. — Nic mi nie jest! Głowa rozboleła mnie trochę, ale dziś było wyjątkowo gorąco...

W rzeczywistości czuła straszne zmęczenie. Stali oboje w cieniu drzew. Ramon dotknął dłonią policzka Diany. Stała cicho, ledwo oddychając.

— Dianko... — Jego ręka zsunęła się niżej i spoczęła na jej ramieniu. W przyćmionym świetle mogła zaledwie widzieć kontury jego twarzy, ale dostrzegła wyraźnie jego czarne

oczy, wpatrzone w nią. Wydawało się, jakby czekał na coś; może na znak zgody?

Zacisnął palce na jej ramieniu w żelaznym uścisku, a drugą dłonią ujął jej podbródek, podnosząc twarz ku górze. Pochylił głowę i pocałował dziewczynę. Był to zachłanny pocałunek mężczyzny, któremu brak kobiety. Wargami rozgniatą jej usta. Namiętnie tulił do siebie szczupłe ciało Diany.

— Boże — jęknął. — Jak ty mnie kusisz... ty nie wiesz, jak bardzo ciebie pragnę! Nie mogę przestać o tobie myśleć!

Dziewczyna milczała. Nie ośmieliła się odpowiedzieć z obawy, że straci całkowicie panowanie nad sobą. Ramon nazwał ją kusicielką, mówiąc o pożądaniu. Ale ona wiedziała już, że to on właśnie miał słuszność wcześniej, twierdząc, że samo pożądanie to za mało.

Mężczyzna uświadomił sobie wreszcie brak odpowiedzi i umilkł.

Wyzwolił dziewczynę z objęć i zszedł ze ścieżki. Potem zaśmiał się krótko.

— To było głupie z mej strony, prawda?

Diana w dalszym ciągu milczała głucho.

— Możesz złożyć wszystko, co powiedziałem, na karb upału — powiedział z ironią — i zbyt długie wystawianie się na twój niezaprzeczalny sex appeal. Czy już odzyskałaś mowę?

— Tak — odparła drżącym głosem. — Miałaś rację, kiedy powiedziałaś, że nasz związek byłby głupotą. Nie interesuje mnie przypadkowe doświadczenie miłosne. Tak jak powiedziałaś, winne były okoliczności, nowe środowisko, dlatego też wszystko wymknęło mi się spod kontroli.



— Tak — rzekł powoli. — To było właśnie tak. Przykro mi teraz; nie wiem, co mnie podkusiło. — Wesi.chriął: — To dobrze, że odjeżdżasz jutro.

Nie powiedział nic więcej. Szli w milczeniu i Ramon pożegnał się z Dianą przy drzwiach jej chaty, mówiąc: — Jeśli nie zobaczymy się jutro przed odlotem, życzę ci dużo szczęścia!

— Jak to? — Tego się nie spodziewała. — Nie przyjdiesz zjeść z nami śniadania?

— Nie — zaprzeczył ruchem głowy. — Mam dużo pracy. Zjem coś później. I muszę wyjechać wcześniej rano, więc najlepiej będzie, jeśli to ty przekażesz Bobowi moje życzenia na drogę.

Diana nie mogła już powstrzymać łez. Na szczęście było zbyt ciemno, żeby Ramon mógł to zauważyć.

— W porządku, zrobię to — rzekła, starając się opanować drżenie głosu. — No i... dziękuję ci za wszystko...

— Nie masz za co. — Odszedł w zupełnym milczeniu.

## ROZDZIAŁ JEDENASTY

Felipe zawiózł ich rano aż na pas startowy. Josita machała im ręką, dopóki nie zniknęli jej z oczu. Po raz pierwszy od czasu przybycia tutaj Diana założyła sukienkę, a jej fryzura i makijaż były nienaganne. Nie chciała, żeby ktokolwiek podejrzewał, jak bardzo czuła się nieszczęśliwa. Szczególnie Josita. Mogła być rywalką Diany, ale trudno było znaleźć w Josicie powody, dla których można było nie lubić tej cichej i spokojnej dziewczyny.

Ranek był gorący. Dzięki chmurom, które zgromadziły się na niebie, było wilgotno. Wioska wyglądała na zaniedbaną i smutną, a kilkoro kurcząt grzebiących w ziemi zdawało się absolutnie nie wierzyć już w robaki, lecz robić to wyłącznie z nudów.

Josita wołała na pożegnanie: „Wracajcie znowu!” Diana podziękowała i pokiwała ręką, a Bob przesłał małej pielęgniarce pocałunek akurat w chwili, gdy ciężarówka ostro ruszyła. Josita szybko odskoczyła na bok. Widzieli, jak długo jeszcze ich pozdrawia. Wyciągając ręce ponad oparcie, Bob uśmiechnął się szeroko do Diany.

— To ci było doświadczenie dla nas, co?

— Można tak powiedzieć. — Diana wygładziła niewidoczną zmarszczkę na spódnicy. Czuła się tak spięta, tak zraniona, że bała się, iż oszaleje. Nawet teraz nie traciła nadziei, że Ramon ukaże się w ostatniej chwili, aby powiedzieć jej: „Proszę, zostań, kocham cię!”

„Im prędzej będziemy na pokładzie samolotu, tym lepiej”  
— pomyślała trzeźwo.

Chociaż Felipe przyjechał po nich trochę spóźniony, kiedy przybyli na pas startowy, samolotu jeszcze nie było.

— Należało się tego spodziewać! — rzekł Bob ze wzruszeniem ramion. — Jesteśmy przecież w Brazylii.

Felipe przypomniał sobie nagle, że jest pilnie potrzebny w wiosce.

— Wam to nie przeszkadza? — zapytał niespokojnie, szarpiąc nerwowo wąsa. — Samolot będzie tu wkrótce.

— O, na pewno — potwierdził ironicznie Bob. — Jeśli się znudzimy, możemy zawsze wypić drinka w barze na lotnisku.

Felipe sposepniał, nie rozumiejąc początkowo żartu, ale po chwili zaczął się głośno śmiać.

— Tak, tak... — Chichotał jeszcze, wspinając się do szoferki i odjeżdżając z lotniska, na którym nikt o barze z drinkami nigdy nie słyszał...

Po odjeździe ciężarówki wokoło zapanował zupełny spokój. Pył poruszony kołami ciężarówki Felipe, osiadł na błyszczących, eleganckich bucikach Diany. Podniosła więc liść i wytarła je do czysta, a potem usiadła, jak Bob, na walizce.

— Ładna poczekalnia portu lotniczego! — prychnęła Diana i z westchnieniem dodała: — Wiesz, Bob, nie powinniśmy za nic w świecie pozwolić Felipe odjeżdżać; możemy teraz siedzieć tu godzinami!

— Nie gderaj — skarcił ją fotograf. — Traktuj to jako część przygody!

Roześmiała się kpiąco.

— Nie wiedziałam, że jesteś takim filozofem! — Wyjęła lusterko z torebki i poprawiła makijaż, nakładając puder na nos.

— A co z wojennymi farbami do twarzy? — dopytywał się Bob. — Czy masz nadzieję poznać przystojnego pilota podczas powrotu?

W odpowiedzi zrobiła minę, wskazującą na brak respektu dla kolegi.

— Posłuchaj... — Podniósł rękę, nakazując milczenie. — Czy to nie nasz samolot?

Oboje nasłuchiwali uważnie. Po chwili Diana zawołała z rozczerwaniem.

— To nie samolot, to znów ciężarówka.

— O, niech to diabli! — zajęczał Hutchkins. — Wiesz, co to znaczy? Lot został po prostu odwołany.

Dziewczyna wstała, zmrużywszy oczy w jasnym świetle, gdy ciężarówka ukazała się w chmurze pyłu. Nagle serce jej się ścisnęło. Może to był... Zamknęła oczy. „Nie, nie myśl w ten sposób — ostrzegła samą siebie — nie bądź głupia!”

— To Pires — stwierdził Bob ze zdumieniem — nie Felipe. A po cóż ten się tu zjawił?

Znowu zamknęła oczy, zaciskając dłonie. Gdy uchyliła powieki, Bob gapił się na nią.

- ^ O co chodzi, Di? Czy dobrze się czujesz?

— Świetnie — posłała mu uśmiech — to tylko ten upał, przez niego boli mnie głowa...

Ciężarówka zahamowała. Ramon wyskoczył zza kierownicy i podszedł do nich. Kapelusz miał wsunięty na czoło i wpatrywał się w dziewczynę jak zahipnotyzowany.

— Hej! — Bob powitał go bezceremonialnie. — Nie trzeba nam nic mówić, zgadliśmy już sami: samolot nie przyleci!

— Nie, jest tylko opóźniony. — Pires zerknął na zegarek. — Mieliśmy wiadomość, że wkrótce tu będzie.

— Dzięki Bogu! — Fotograf spokojnie usiadł znowu na walizce. — Przykre to, że nie możemy zaofiarować panu krzesła — rzekł z pewną złościwością. — Czy to wszystko, co pragnął nam pan zakomunikować?

— Nie — odrzekł Pires, nie odrywając oczu od Diany i patrząc na nią w taki sposób, jakby widział ją po raz pierwszy w życiu.

— Jeśli będzie pan nadal gapił się na Di tak jak teraz — zauważył Bob, marszcząc groźnie czoło — może ona uznać to za obrazę.

— Mogę sama mówić za siebie! — Diana zwróciła się do Boba, niezdolna ukrywać dłużej zakłopotania. — Jeśli pozwolisz...

Hutchkins momentalnie zmienił wyraz twarzy. Zdał sobie nagle sprawę, że przeszkadza tym dwojgu, ale nie miał co z sobą zrobić! Mógłby tylko udać się do poczekalni i napić się kawy lub przejrzeć gazetę, jeśli taka istniałaby tutaj.

— Nie ma powodu do gniewu. — Ramon uśmiechnął się. — Nie zamierzam być nieuprzejmy. Ledwie panią rozpoznałem. Wygląda pani... czarująco.

— Nie jestem inna niż byłam przedtem — odpowiedziała spokojnie, ale jej twarz wyraźnie zaróżowiła się.

Ramon pokręcił głową.

— - Nie zgadzam się z tym, ale nie przyjechałem, żeby sprzeczać się z panią.

— A zatem, po co zjawił się pan tutaj? — Odrzuciła głowę do tyłu; przyjęła jego obecność tu jako rodzaj kontroli. — Wspominał pan, że wybiera się dziś właśnie na północ!

Jakiś nerw zadrgał na jego policzku. Dziewczyna zauważyła, że jest zdenerwowany i czuje się nieswojo. Z udaną niedbałością wsunął rękę do kieszeni.

— Moje plany uległy zmianie — odparł niechętnie. — Muszę więc pogadać z pilotem.

— Ach, tak. — Zagryzła wargę. Oczywiście, to wszystko nie miało żadnego związku z nią. Starła się zachować spokój.

Zapadło między nimi niezręczne milczenie, ciężkie od nie wypowiedzianych słów. Bob rozplątywał paski kamery i nie odzywał się wcale.

W pewnej chwili usłyszeli charakterystyczny odgłos. Samolot schodził do lądowania. Diana odetchnęła z ulgą. Wszystko było lepsze od przedłużania tej chwili.

— A oto i samolot! — zwróciła się do Ramona ze słabym uśmiechem. — Bogu dzięki!

Ramon pochylił się, aby podnieść jej walizkę.

— Mogę zrobić to... — zaczęła dziewczyna.

— Nie. — Powiedział to głosem nie znoszącym sprzeciwu, tak więc Diana podniosła tylko mały neseser i przewiesiła przez ramię kamerę.

Samolot krążył nad polaną, a potem zszedł szybko niżej, sunąc po pasie startowym aż do bezpiecznego lądowania.

Pires wysunął się przed nich i słyszeli, że rozmawiał krótko z pilotem, choć nie udało im się złapać sensu rozmowy. Stali więc, czekając na jej zakończenie. Pożegnał pilota jakimś żartem, a potem wrócił do nich.

— Do widzenia! — rzekł, potrząsając ręką Boba, a kiedy ten zaczął się wspinać do samolotu, zwrócił się w stronę dziewczyny. — Wyglądasz przepięknie w tym stroju — powiedział cicho. Jego oczy utkwione były w jej twarzy, jak gdyby chciał wyryć jej obraz na zawsze w pamięci. Wyciągnął rękę i ujął dłoń Diany. — To dobrze, że jesteśmy obserwowani — zauważył ochryple — w przeciwnym razie mógłbym pokusić się, żeby cię pożegnać w bardziej intymny

sposób. — Ucisnął mocniej jej dłoń i powiedział szybko: — Do widzenia! To najlepsze wyjście — twój wyjazd. Ale będzie mi ciebie brakowało i tę satysfakcję możesz zabrać ze sobą. — Pochylił się i pocałował ją w usta; pocałunek był krótki i mocny.

— Idź — rzekł — czekają na ciebie.

Tymczasem Bob ułożył już jej rzeczy w samolocie. Dianie nie pozostało zatem nic innego, jak zająć miejsce w cессnie.

Nie mogła jednak odlecieć bez tej ostatniej już próby.

— Ramon — wyszeptała — ja nie chcę odejść...

— Musisz — odrzekł ze smutkiem. — Nie ma tu miejsca dla ciebie. Stwierdziłaś to sama ubiegłej nocy, pamiętasz?

— Tak, ale...

— Jakie ale? — Patrzył gniewnie na samolot.

— Czy jesteś — zebrała całą odwagę — to znaczy... czy to z powodu Josity?

— Co? — Jego brwi zetknęły się ze sobą nad orlim nosem.

— Co z Jositą?

— To ona jest tą, z którą się ożenisz?

— Kto ci to powiedział?

— Nikt, ale ty sam mówiłeś kiedyś...

Wciągnął głęboko powietrze i wtedy dopiero przytaknął:

— Tak, ona.

Nie mieli już sobie nic do powiedzenia. Wspięła się po drabince do samolotu i usiadła przy oknie obserwując Ramona, który odszedł wolno do ciężarówki. Oparł się o nią i spoglądał na samolot nabierający stopniowo szybkości na nierównym pasie startowym. Diana zacisnęła powieki, co zawsze robiła przy odlocie.

Kiedy otworzyła oczy, byli już wysoko nad ziemią.

Daleko w dole, gdy samolot robił zwrot na wschód, mogła jeszcze zobaczyć ciężarówkę i małą figurkę stojącą nieru-

choino. Łzy napełniły jej oczy, ale nie pozwoliła im spłynąć po policzkach. Wyjaśnił wreszcie w prosty sposób, że nie chciał jej w swoim życiu — i tak się stało. Zamierzał ożenić się z Jositą. Czy było słusznym planować ślub zjedną osobą, pożądamy jednocześnie drugiej? Bo Ramon pragnął jej, Diany! Miała przynajmniej taką satysfakcję!

„Ramon chce mnie — myślała z goryczą — ale inaczej niż Adam, wie, że może uniknąć pokusy, wyganiając Dianę ze swego raję”

Bob nie odzywał się podczas lotu, ale w hotelu w Barra do Garcas zadał jej wreszcie jedno pytanie.

— Co się zdarzyło między tobą a Ramonem, wtedy? — zapytał łagodnie przy kolacji. — I po co przybył na lotnisko?

— Musiał pomówić z pilotem.

— Nie, nie zrobił tego; pilot powiedział mi, że Ramon przyjechał specjalnie, aby zobaczyć ciebie.

— Zgoda — westchnęła Diana — ale wszystko, co mi powiedział, to „do widzenia”...

Bób potrzęsnał głową.

— Widziałem, jak cię całował, to nie było zwykłe cmoknięcie w policzek!

— Dużo przeszliśmy razem; to bardzo zbliża — powiedziała.

— Tylko dlatego? Jesteś pewna? Zachowywał się bardzo dziwnie. Czy nie zauważyłaś, jaki był spięty? Nawet ja to spostrzegłem, aż zrobiło mi się żal tego faceta.

— Mówiłam ci kiedyś, że czasami widzisz za dużo. — Wargi Diany drżały. Zrobiła wysiłek, żeby zmusić się do uśmiechu. Był to jednak wymuszony i gorzki uśmiech. — Niepotrzebnie martwisz się o Ramona. Zrobił wielką scenę komunikując mi, że chce, abym sobie poszła, bo on żeni się



wkrótce z Jositą i nie ma ochoty mieć mnie blisko, bo go to „rozprasza”...

— Tak powiedział? — Bob wytrzeszczył oczy, a potem zamyślił się. — Jeśli tak postąpił, to jest idiotą! Josita może nosić pochodnię przed nim, ale idę o zakład, że on wcale o nią nie dba. On chce ciebie, każdy mógł to zobaczyć, nawet z odległości mili!

— A jednak — powtórzyła — zamierza żenić się z Jositą!

Jeszcze przed opuszczeniem Brazylii, Diana spotkała się z Vincente.

— Dzięki niech będą Bogu — jesteś cała i zdrowa! — wykrzyknął na powitanie. — Co też za przygody mieliście oboje! I pomyśleć, że Ramon zawdzięcza życie tobie — to wprost zdumiewające!

— Myślę, że to ja miałam szczęście, że Ramon przyszedł po mnie! — odpowiedziała Diana żałośnie.

— A jak ci się podoba ten chłopiec? Czy wam obojgu wiodło się dobrze, jak przepowiadałem?

Musiła zwalczyć pragnienie, żeby nie powiedzieć mu o wszystkim i nie wypłakać się na jego ramieniu. Zamiast to zrobić, uśmiechnęła się promiennie.

— Lubię go ogromnie... ale nie jestem wcale pewna, czy on mnie też polubił.

— Uważasz, że jest skryty i ostrożny? — Starszy pan uśmiechnął się chytrze. Czyżby wyczuł, że w grę wchodzi uczucia Diany? Nie była tego pewna, ale odczuła ugle, gdy zmienił temat rozmowy.

Spędziła z Vincente jeszcze dwa dni. W tym czasie z Aragarcas telefonował Ramon. Przyjęła telefon i przełączyła do Vincente. Głos Ramona był chłodny i obojętny, nie zapytał nawet, jak się miewa, ani nie zdobył się na jedno

choćby przyjazne słowo. Wyglądało to tak, jakby nigdy nie byli nawet znajomymi! Kiedy Vincente odłożył słuchawkę, powiedział jej, że Ramon życzył jej przyjemnej podróży powrotnej do Anglii. Uśmiechnęła się przelotnie mówiąc, że to ładnie z jego strony...

Po powrocie do Brazylii przyszedł czas pożegnania z Bobem. Wyjeżdżał do Nowego Jorku i Diana udała się do portu lotniczego, żeby się z nim tam spotkać. W ostatniej chwili objął ją serdecznie i powiedział:

— Zobaczę cię kiedyś znowu, mam nadzieję. Nie zapomnij — jeśli byłabyś w kłopotcie, po prostu zadzwoń!

Ucałowała go szybko i machała mu ręką, dopóki samolot nie zmalał do rozmiarów małej plamki na niebie; wtedy pojechała do hotelu i spakowała rzeczy.

Wróciła znowu do Anglii; tam, w Bayswater, wynajmowała małe mieszkanie. Anglia radowała się akurat pełnią lata. Hyde Park był świeży i zielony, rabaty kwiatów dookoła estrad dla orkiestr wyglądały jak pola czerwonej szałwi i błękitnej lobelii.

Diana stwierdziła, że jest zadowolona z powrotu do domu. Poczyszające jest przebywanie w kraju, gdzie autobusy kursują punktualnie i nie są pełne drących dzioby kurczaków.

Zatopiona we wspomnieniach, spacerując po ruchliwych ulicach, Diana niekiedy musiała się szczypać, by uwierzyć, że jej perypetie z Ramonem nie były snem.

Podczas weekendu na party w Hampstead wypijała za dużo i nie mogła wybrnąć z sytuacji, jaka zaistniała pomiędzy nią a dobrze się prezentującym cudzoziemcem. Nadmiar wina oszołomił ją i przez to nieświadomie zachęciła starszego pana. Był wściekły, kiedy zrozumiał, że dziewczyna nie ma zamiaru zakończyć wieczoru w jego łóżku.

Wchodząc do swego mieszkania, czuła się niezwykle wyczerpana i niezadowolona z siebie, ale pomimo zmęczenia nie miała ochoty położyć się do łóżka. W małej, ładnej kuchence z wazonami pełnymi suszonych kwiatów zrobiła sobie kawę, gorzką i mocną. Gdy patrzyła na naklejkę z napisem: „Najlepsze brazylijskie ziarna kawowe” świadomość straty, o której starała się nie myśleć, stała się dla niej nie do zniesienia. Płakała gorzko z tęsknoty za mężczyzną, który nie rozumiał nawet tego, że skazując ją na rozłąkę z Mato Grosso wygnał ją ze stron, które kochała najbardziej na świecie.

Nad ranem wzięła się w garść. Wypłakała się już w nocy — i nie zamierzała zamartwiać się dłużej. Nie chciał jej i koniec. Nic na to nie mogła poradzić. Lekarstwo nie polegało na znalezieniu innego mężczyzny (jeszcze nie i może długo nie!), a na pracy.

Rzuciła się w wir zajęć gorączkowo i przy końcu miesiąca biografia była już u wydawców. Ta książka mogła być rewelacją, tak zapowiadano. Kopię manuskryptu posłała Vincente, prosząc o opinię. Odpowiedział natychmiast listem pełnym uznania dla autorki, a skromnie pomniejszającym jego osiągnięcia.

„Ramon był tu, kiedy manuskrypt nadszedł — dodał Cruz w liście — i czytał go także. Powiedział, że zostało to dobrze napisane, co u Ramona jest dużą pochwałą. Co do niego, jestem bardzo zatroskany; wydaje się być w depresji i w złym nastroju. Być może nie powinienem tak pisać, ale myślę, że brakuje mu Ciebie. Przyszło mi do głowy, że on jest zbyt dumny, ale dla jego własnego dobra... Możliwe, że zrozumiesz, co chcę powiedzieć”

List kończył się zagadkowym komentarzem, pozostawiając Dianę wzburzoną i zdezorientowaną. Czy Vincente rze-

czy wieście miał na myśli to, co napisał? Czy Ramon odczuwa jej brak? Tak wynikałoby z listu starszego pana...

Podeszła wolno do szuflady, gdzie przechowywała akta dotyczące Parku Primeiro. Były tam wszystkie jej notatki: nagryzmołony dziennik obejmujący istotne wydarzenia każdego dnia, notes poświęcony zwyczajom Indian, fauna, flora, opis wioski; a wreszcie fotografie, mnóstwo fotografii, skrzętnie zabezpieczonych. Nie spojrzała nawet na nie od dnia zakończenia biografii Vincente, aż do dnia dzisiejszego.

Byli na nich Indianie Xingu, śmiało patrzący wprost w kamerę, uchwyceni przy codziennych zajęciach: lepieniu garnków, wyplataniu koszy, rybołówstwie i tkactwie. Były zapasy atletów i radosne święta, i zabawy.

I był tam Ramon. Sfotografowała go rozmawiającego z Kiaru, podczas ostatniej wizyty u Xingu. Miał wtedy poważny i skupiony wyraz twarzy, gdyż koncentrował się na słowach wodza.

Pamiętała, jak obrócił się zirytowany w jej stronę i powiedział, żeby fotografowała coś innego, ale nie jego właśnie!

— Pstryknij kogoś ładniejszego! — zawołał.

Nacieszyła oczy jego fotografią, choć tak długo broniła się przed tym... Czas nie zawsze leczy. Nauczyła się już żyć bez nadziei, ale była w niej jakaś wewnętrzna martwota. Nie potrafiła się niczym pocieszyć. „Pewnego dnia — tłumaczyła sobie — spotkam kogoś, kogo porównam z Ramonem Piresem" Ale sama w to nie wierzyła.

Przez cały tydzień nie myślała o niczym innym, jak tylko o liście od Vincente. Nie wspominał ani słowem o oświadczeniach Ramona, ani też o jego ślubie z Jositą i zaczęła się zastanawiać, czy Bob nie miał jednak racji, kiedy twierdził, że Ramon wprowadził Dianę umyślnie w błąd. Ale po co? Dlaczego miałby tak postąpić? A co miał na myśli Cruz

pisząc, że Ramon jest zbyt dumny, ze szkodą dla własnego dobra?

Przypomniała sobie, jak kiedyś powiedział, że nigdy nie chciał być bogaczem i nazwał pieniądze „największym afrodyzjakiem”... Czy naprawdę uważał, że ona dba o nie? Czy nie utożsamiał jej w myślach z tamtą kobietą, antropologiem? To byłoby głupie — nie była wcale podobna do Leah Carstairs. Oczywiście, życie z Ramonem zmuszałoby do rozwiązywania różnych problemów. Kimkolwiek były te domniemane kobiety Piresa — na pewno wołały życie w cywilizowanym świecie — bez niego. Jeśli teraz brakuje mu Diany, jeśli ją jeszcze kocha, a rzadko ośmielała się myśleć o tym, nie było niczego na świecie, czego pragnęłaby bardziej niż jego.

Nawet kariera zawodowa straciła dla niej znaczenie w porównaniu z tym, co mogłoby dać jej życie u boku Ramona. Co zatem powinna zrobić, jeżeli w ogóle należało coś robić? Męczył ją ten problem przez długie godziny. Najprościej, oczywiście, napisać list wprost do Ramona, ale nie mogła jakoś zdobyć się na to. Gdyby odpowiedział negatywnie — byłoby to więcej niż mogła znieść — a nawet wtedy nigdy nie zyskałaby pewności, czy treści listu nie podyktowała mu jego duma. Posłała mu przecież krótką notatkę po opuszczeniu Brazylii, dziękując za wszystko. Nie zadał sobie nawet odrobiny trudu, by odpowiedzieć kilkoma grzecznościowymi słowami. Jego milczenie oznaczało, że nie chce jej już nigdy widzieć.

W końcu napisała do Vincente. Był to krótki list, ale zredagowanie go zajęło Dianie parę godzin. Bała się napisać prawdę. Byłoby o wiele mądrzej tak zrobić i otrzymać jasną, konkretną odpowiedź. Pozostawiła swą epistołę bez poprawek.

List zatem brzmiał, jak następuje:

„Drogi Vincente,

dziękuję ci za twój ostatni list. Jestem zadowolona, że podoba ci się książka; przy odrobinie szczęścia powinna znaleźć się u drukarzy w następnym miesiącu.

Nie jestem pewna, czy zrozumiałam, co miałeś na myśli, pisząc o Ramonie, któremu brakuje mnie, zwłaszcza że powiedział mi przedtem o zamiarze poślubienia Josity.

Często marzę o powrocie do Mato Grosso. Chciałabym opracować artykuł o Parku dla pisma „Geografia dzisiaj”, ale waham się, czy pytać Ramona, skoro on zachowywał się tak, jakby nie chciał mnie tam więcej widzieć.

Jeśli myślisz, że się mylę, czy mógłbyś — jeśli to możliwe — wy badać go w związku z moim przyjazdem do Brazylii, nie informując, że cię o to prosiłam?

Z najlepszym: życzeniami”

Podpisała i opieczętowała list, wiedząc, że mogła napisać więcej; nie była jednak w stanie tego zrobić. Prawdopodobnie Vincente domyśli się...

Skoro tylko odniosła list na pocztę, rozpoczęła zaraz pracę nad artykułem o Mato Grosso. Zabrała ze sobą wstępny szkic artykułu i pokazała go wydawcom pisma geograficznego. Znali ją i lubili, a przy tym chcieli, żeby wróciła do ich redakcji. Śmierć grożąca dżungli nad Amazonką była aktualnie tematem interesującym wielu czytelników. Wydawcy namawiali więc Dianę, żeby koniecznie zajęła się tym problemem. Powiedziała im, że złożyła już podanie o ponowne zezwolenie na wyjazd do Parku Narodowego Brazylii i na tym na razie stanęło.

Potem czekała już tylko na odpowiedź Vincente, ale dzień po dniu mijał bez odpowiedzi. Kiedy minęły już ze dwa tygodnie, napięcie Diany doszło do zenitu i stało się nie do

zniesienia. „Jestem szalona z powodu ślepej miłości do człowieka, który zapewne nie dba o mnie wcale. To jest śmieszne i żałosne: opierać na tym moje wielkie nadzieje, z których zostanie nie więcej, niż mała wzmianka w jakimś liście” — rozmyślała. Była dorosłą kobietą i powinna sama wiedzieć, lepiej od doradców, co należało zrobić! Każdego dnia jednak, budząc się, modliła się o list i bez wytęsknionej odpowiedzi coraz bardziej upadała na duchu.

Wreszcie, w najmniej oczekiwanym momencie, list nadzedł! W białej kopercie z brazylijskimi znaczkami! Był to list od Vincente, który Diana od razu zaczęła czytać, bez chwili zwłoki.

„Droga Diano! — pisał starszy pan.

Mogę być stary, ale nie jestem głupi. Ramon był tu wczoraj. Pracuje za ciężko i pije zbyt dużo. Powiedziałem mu, że potrzebuje odpoczynku, a on o mało co nie odgryzł mi głowy. Kiedy zaproponowałem, żeby poprosić ciebie o opracowanie artykułu o Parku, odparł, że ta sprawa jest całkowicie poza dyskusją. Nie zgodził się, nie podając jednak żadnego logicznego powodu odmowy.

Jeśli jeszcze ci na nim zależy — a podejrzewam, że tak jest — sugeruję najlepszą rzecz, jaką możesz zrobić: wybrać się tam bez zapowiedzi. Być może, wtedy on podda się temu, co was łączy.

Co zaś nagadał ci o poślubieniu Josity było i jest nonsensem. Ona zawsze zabiegała o Domingo, tego doktora, i Ramon mówił mi niedawno, że zamierza nakłonić Tomasa, aby uregulował wreszcie swoje osobiste sprawy.

Z najlepszymi życzeniami od interweniującego starego człowieka — Vincente”

Przeczytała ten list dwukrotnie, potem włożyła troskliwie do szuflady.

— Dziękuję ci, Vincente — wyszeptała czule. Podeszła do telefonu i zadzwoniła do agenta z biura pouróży, ażeby przygotował dla niej wszystko, co dotyczy rozkładu lotów na trasie Londyn — Brazylia.



## ROZDZIAŁ DWUNASTY

Samolot już odleciał. Pas startowy opustoszał. W otaczających lotnisko drzewach grały cykady i śpiewały ptaki, i nie słysząc już było znikającego w chmurach samolotu. Diana podniosła plecak i wsunęła ramiona w jego rzemyki. „To jest to” — pomyślała.

Dokoła nie było nikogo, kto czekałby na nią z powitaniem, bo też nikt nie wiedział, że przybywa. Zdecydowała postąpić tak, jak radził Vincente; jej szansą było nie zapowiedziane pojawienie się. Gdyby napisała do Ramona, prosząc o zezwolenie na przyjazd do Parku, otrzymałaby jednoznaczną odpowiedź: nie.

Była bardzo zdenerwowana. Ileż razy Pires powtarzał jej, że nikt nie ma prawa wejść bez jego zgody do Parku. Niełatwo też było przekupić pilota, żeby odbył z nią ten nie ujęty w rozkładzie lotów rejs. Miała jednak trochę szczęścia, bo trafiła na tego samego chłopaka, który zabrał poprzednio ją i Boba do Barra do Garcas. Pamiętał Dianę i pamiętał Ramona, całującego ją wtedy przed odlotem. Wykorzystała tę szansę, zwracając się, że była bardzo blisko z Ramonem, a teraz pragnie sprawić mu niespodziankę. To podziałało na romantycznego chłopaka i zgodził się wysadzić ją na pasie startowym Parku.

Teraz była tu, sama jak palec, i nie pozostało jej nic innego, jak tylko pomaszerować naprzód. Nie była tchórzem, przecież nie tak dawno musiała sobie radzić w lesie

tropikalnym, narażona na jego niespodzianki. Teraz jednak czuła, że odwaga pomału ją opuszcza.

W plecaku niosła kamerę i notatki. Dawało jej to możliwość usprawiedliwienia swego przybycia, gdyby inne wypowiedzi zawiodły. Żywiła jednak nadzieję, że zaskakując Ramona przełamie jego opór. Niestety, im bardziej zbliżała się do wioski, tym mniej realny wydawał się jej ten plan.

Nie był to długi spacer, ale pozwolił jej przypomnieć sobie, jak osłabiająco działa upał. Usiłowała trzymać się w cieniu na poboczu drogi, ale pasmo to zarosło prawie całkowicie chwastami i krzewami, co zmusiło dziewczynę do powrotu na otwartą przestrzeń. Jej koszula była mokra, a spod słomkowego kapelusza spływały strużki potu.

Ubrała się tego dnia starannie w nowe spodnie i przewiewną koszulę. Zanim jednak dotarła do wioski, czuła się już brudna i nieświeża. Zatrzymała się na chwilę tuż przed wioską, zasłonięta łukiem zakrętu drogi i otarła twarz chusteczką do nosa. Pragnęła pobiec z powrotem na pas startowy i tam się ukryć. „Naprawdę spaliłam za sobą mosty — pomyślała, kpiąc sama z siebie — nie ma już drogi, żeby się wydostać stąd teraz. Musiałam oszaleć, zjawiając się tu”. Czuła przyspieszone bicie serca i dziwną suchość w ustach. Trudno jej było ruszyć się z miejsca. „Kiedy obejdem ten zakręt — pomyślała — zostanę zauważona przez mieszkańców wsi.”

Gdyby to było możliwe, wróciłaby w tej chwili biegiem do Londynu. Niestety, z rozmysłem postawiła się w takiej sytuacji, jedyna droga prowadziła naprzód. Wzięła głęboki wdech i ruszyła.

Kogut zapiał donośnie, gdy mijała zakręt, ale wioska wydawała się opuszczona. Liczyła na szybkie spotkanie z Ramonem. A jeżeli jest właśnie w drodze albo daleko stąd?

Podeszła szybciej w stronę szpitala i w tej chwili otworzyły się drzwi i na ulicę wyszła Josita. Ujrzała Dianę i zatrzymała się, zdumiona.

— Halo! — zawołała Diana, czując się wyjątkowo głupio.

— Jak się tu dostałaś? — Josita mrugnęła porozumiewawczo. — Nikt nie powiedział nam, że przyjedziesz. Czy ktoś cię spotkał?

— Nikt — odparła tak dziarsko, jak tylko mogła. — Załapałam się na lot samolotem!

— Co ty? — Pielęgniarka nie wierzyła własnym uszom. — Nie pytałaś wcześniej Ramona?

— Nie — Z wysiłkiem przełknęła ślinę. — A co on może mi zrobić? Jak myślisz? Rzuci mnie aligatorom na pożarcie? — Chociaż starała się żartować, słychać było w jej głosie drżenie.

— Nie wiem... — Josita uśmiechnęła się nagle pogodnie. — Ale nie sądzę, żeby posunął się tak daleko. Być może będzie to dla niego miła niespodzianka.

Przyglądały się sobie wzajemnie; Josita — spokojna i opanowana jak zwykle; Diana — zdenerwowana.

— Gdzie on jest? — spytała Diana.

— W biurze. — Usłyszała ku swojej uldze — Masz szczęście, że on tu jest! Powinien być na północy z Tomasem, ale złapał silną gorączkę i został zmuszony do odpoczynku przez kilka dni. Nie powinien pracować teraz, ale... — Josita wzruszyła ramionami. — Znasz Ramona. Nie mogłam go powstrzymać od pracy.

Na palcu pielęgniarki tkwił piękny pierścionek. Gdy podniosła rękę, słońce odbiło się w kamieniu, przyciągając uwagę Diany. Josita uśmiechnęła się, świadoma, że dziewczyna zauważyła przedmiot jej cichej dumy.

— Podoba ci się mój pierścionek? — spytała zadowolona.

— Tak, jest piękny! — pochwaliła Diana. I nagle opanowały ją czarne myśli. Może Ramon wprowadził w błąd Vincente? Spytała więc: — A kto...

— Tomas! — oznajmiła triumfalnie. — Pamiętasz chyba, że raz pytałaś mnie o niego?

— Tak, ale wtedy nie miałam pojęcia... Myślałam, że jesteś zajęta Ramonem.

Josita uniosła brwi i nagle błysk zrozumienia ukazał się w jej oczach.

— Ach, rozumiem teraz! Ty po prostu źle mnie rozumiałaś, kiedy to mówiłam... — Zaczęła śmiać się głośno i szczerze. — Ale ja nie myślałam wtedy o sobie! Nie, nie... Widzisz, Ramon zawsze wiedział, co czuję do Tomasa i był moim zaufanym przyjacielem! — Nagle spoważniała; przyglądała się dziewczynie uważnie i przenikliwie: — No tak... przyjechałaś zobaczyć się z Ramonem?

Diana zarumieniała się i skinęła głową.

— A więc lepiej znajdź go teraz. — Szybko poradziła jej Josita. — Czy chcesz, żebym poszła z tobą?

A może zgodzić się na tę propozycję? Ale nie, musi Ramonowi stawić czoła sama.

— Lepiej będzie — odpowiedziała grzecznie — jeżeli pójde do niego sama...

— No to powodzenia! — Skinęła głową Josita i odeszła.

Powoli, lękliwie, Diana poszła w kierunku biura. Drzwi były trochę uchylone, we wnętrzu panowała cisza. Chciała zapukać, ale się rozmyśliła. Weszła do środka.

Ramon drzemał przy biurku z głową wtuloną w stertę papierów. Nad nim obracał się wachlarz zastępujący wentylator.

Wśliznęła się cicho, nie robiąc żadnego hałasu; Ramon musiał jednak wyczuć czyjąś obecność w biurze, bowiem

obudził się. Zaklął, a potem, pocierając zarośniętą twarz, odwrócił się lekko — i zobaczył swego gościa.

— Diana — wymamrotał. Wlepił z niedowierzaniem oczy w dziewczynę. Zaklął znowu, a gdy ochłonął nieco z wrażeń, pokręcił głową i zapytał: — Czy ja oszalałem? Jak się tu dostałaś?

— Ja... ja załapałam się na samolot — odrzekła lakonicznie, posuwając się w głąb pokoju.

On był ciągle tym samym Ramonem, tak bardzo ją pociągającym. Czarne, gęste włosy opadały mu na czoło, cień zarostu widniał na podbródku i policzkach, nadając mu wygląd pirata. Rysy miał ostre i surowe. Zanim jednak opanował się całkowicie, wyraz jego czarnych jak węgiel oczu zdradził jej, że gra była warta świeczki.

— Siadaj. — Gestem wskazał krzesło przed biurkiem; głos miał trochę zmieniony, jakby zmęczony. Nie potrzeba tu było lekarza ani Josity, żeby zorientować się, że jest chory; było to widoczne w sposobie mówienia i w ruchach.

— Co tu właściwie robisz? — Zmarszczył brwi. — Myślałem, że wyjaśniłem ci dokładnie, że nie powinnaś tu wracać!

Mimo osłabienia jego słowa miały dawną ostrość.

— Jeśli chcesz pisać o Indianach, mogłaś tym razem wybrać jakiś inny rezerwat.

Zawsze umiał ją zranić. Zbladła, ale gniew dodał jej odwagi.

— To nie było łatwe dla mnie, przyjechać tu! — wybuchnęła nagle. — Tak, proszono mnie, żebym napisała artykuł, który miał dotyczyć także twojej pracy! Jakiś inny reporter nie zainteresowałby się tym na pewno! Jeśli chcesz jednak znać całą prawdę, nie dla tego tylko tu przyjechałam! — Umilkła, zagryzając wargę. — Okłamałeś mnie, mówiąc o

swoim bliskim ślubie z Jositą! Dlaczego? Dlaczego to zrobiłeś? — krzyknęła przez łyzy.

Ramon oparł głowę na rękach, znużony, ale po chwili wyprostował się i spojrzał na Dianę. Jego twarz była nieprzenikniona, mięśnie napięte.

— Nie wiesz, czemu o tym mówiłem? A co chciałaś, żebym powiedział? — Z czułością wpatrywał się w dziewczynę, wbrew ostrym słowom. — Że brak mi było ciebie? Że myślałem o tobie dzień i noc przez całe dwa ostatnie miesiące? Dobra! To prawda! Zmieniłaś mnie, ciągle jeszcze nie jestem sobą. Nie mam nawet siły udawać, że jest inaczej... Ale to szaleństwo i ty wiesz o tym także. Oczywiście, że kłamałem, zapowiadając, że się wkrótce ożenię z kimś innym, ale jak inaczej mogłem powstrzymać się, żeby nie błagać — zostać!

Diana nie miała wprost odwagi wierzyć własnym uszom. Prawdą było, że zależało mu na niej, w to nie mogła wątpić, a jednak często był tak ponury, oschły i patrzył na nią wrogo!

— Czemu twierdzisz, że to szaleństwo? Czy uważasz, że nie jestem odpowiednia dla ciebie? Cóż jest we mnie złego?

Zacisnął pięści i ryknął: — Boże! Myślę, że ty nigdy nie zrozumiesz! — Odepchnął stoi jednym gwałtownym ruchem i wstał. Podeszedł do okna i stanął tam plecami do niej, mamrocząc jakieś przekleństwa.

— Mówiłem ci, że nie chcę mieć z tobą romansu, ale wróciłaś tu znowu i dręczysz mnie. Dlaczego nie pójdziesz stąd, zanim zrobię coś, czego oboje będziemy żałowali! — Stał nadal przy oknie, z zacisniętymi pięściami, walcząc ze sobą.

— Proszę. — Wstała z krzesła. — Czy ty nie widzisz, jakie to jest trudne dla mnie? — Nie była w stanie myśleć

jasno, nie wiedziała, jak dotrzeć do niego. — Ja także mam trochę dumy... — Głos jej się łamał, więc prawie szeptem dodała: — Czy to ja mam cię błagać?

Odwrócił się; policzek drgał mu nerwowo.

— Błagać o co? — zapytał z pozornym spokojem.

Milczała — nie miała już siły na odpowiedź.

— Czego pragniesz? — Podszedł do niej powoli i położył ręce na ramionach dziewczyny. — Chcesz, żebyśmy zostali kochankami? — Jego palce zacisnęły się mocniej, czarne oczy płonęły. — Czy po to jechałaś aż z Anglii? Nie ma mężczyzn w Londynie?

Poruszyła się, ale nie mogła uciec od niego.

— Co sprawia, że mnie pragniesz? To, że nie dałem ci tego, czego chciałaś? — Uśmiechnął się nieprzyjemnie. — Może masz słuszość, miałem niepotrzebne skrupuły. — Jego oczy utkwione były w jej oczach, hipnotyzowały ją jak jastrząb swą ofiarę. — Jeśli nie chcesz odejść, muszę przyjąć to, z czym przyjechałaś.

Przywarł do jej warg w palącym, dzikim pocałunku. Walczyła bezskutecznie, gdyż trzymał ją w mocnym uścisku. Nawet osłabiony chorobą był znacznie silniejszy od Diany. Kiedy odsunął dziewczynę od siebie, miała szorstkie, popękane do krwi usta i łzy w oczach.

— Nie, proszę cię, Ramon — szlochała. — Nie bądź taki, nie mogę tego wytrzymać. Miałaś rację! Nie powinnam była tu przyjeżdżać.

— Do diabła! Czy wiesz, co znaczą takie słowa dla mężczyzny? Myślisz, że możesz przyjechać tu i błagać o miłość, a potem zmienić zdanie w ostatniej chwili? Czy jesteś szalona? — Był najwyraźniej rozwścieczony. — Na Boga, nie mogę tego znieść dłużej!

Siłą wepchnął ją do pokoiku obok biura, otwierając drzwi kopniakiem. Stało tam wąskie łóżko z rozrzuconym pościelnem, jakby ktoś już przed chwilą tu leżał.

— To wystarczy! — wysapał Ramon. Popchnął ją na niechlujne łóżko. — Nie jest tu zbyt luksusowo, ale w końcu przyjechałaś tu po to, żeby wzburzyć pościel!

— Nie! — Potrząsnęła głową. — To nie tak, proszę, posłuchaj mnie! Proszę, pozwól mi odejść!

Nie mogła zrozumieć, dlaczego wszystko ułożyło się nie tak, jak sobie to wymarzyła. Czemu był tak brutalny? Czy zasłużyła na to? Czy zawiódł się aż tak bardzo? Chciała, żeby ją kochał, to prawda, ale nie tak, jak gdyby pogardzał nią.

Teraz znów całował dziewczynę, przygniatając ją swoim ciężarem.

— Możesz poprosić mnie o to samo za chwilę! — rzekł z pozorną surowością. — Nie musisz się bać! Nie zamierzam cię gwałcić, ale mówiłaś coś o błaganiu, wiedz zatem, że zanim skończę, będziesz błagała, żebym znów się z tobą kochał!

Jego dłonie znalazły się pod jej koszulą, dotykając nagich piersi. Gdy poczuła palce Ramona lekko muskające jej ciało, wstrząsnął nią dreszcz. Męczyzna ustami pieścił jej szyję, pocałunki były tym razem delikatne. Całował teraz jej czoło, potem dotknął policzka słonego od łez. Zamarł w bezruchu. Oparty na łokciu zaczął wpatrywać się w jej twarz. Dziewczyna otworzyła oczy i po jej policzku potoczyła się łza.

— Diano, proszę... — Opanował go nagle smutek. — Nie płacz. — Był biały jak płótno. — Powiedz mi, czy to z powodu gorączki zachowuję się jak szalony? Jeśli nie chcesz mnie, czemu się tu zjawiłaś? Czemu myślałem, że tego właśnie pragniesz?



— Chcę ciebie. — Spojrzała na jego wymizerowaną twarz i owładnęła nią przemożna chęć serdecznego objęcia go za szyję, żeby ukoić jego ból. — Ale nie lubię... kiedy traktujesz mnie z pogardą.

— Ależ tak nie jest! Jestem tylko zły, bo przybyłaś tu, żeby mnie męczyć. — Usiadł na krawędzi łóżka i pieścił palce Diany. Dziewczyna usiadła również, starając się uspokoić. Czuła się słaba i krucha. Ramon patrząc na nią, podniósł jej dłoń i ucałował delikatnie.

— Pragnę cię tak bardzo — wyszeptał — że mógłbym rzucić pracę i wyjechać stąd, jakby ona nic nie znaczyła dla mnie. — Całował jej palce i szeptał czułe słowa, nie podnosząc oczu. — Żyłem jednak długo w tym świecie, i wiem, że nie mogę jechać z tobą do Londynu, nic by z tego nie wyszło...

— Wiem, oczywiście, wiem o tym... — Dotknęła ręki Ramona. — Ale to ja mogę tu pozostać, jeśli tylko ty zechcesz mnie poprosić. Wiesz przecież, dlaczego tu jestem!

— Powiedz mi, dlaczego?

Diana uzmysłowiła sobie, że nie ma już sensu ukrywać dłuższej prawdy.

— Ponieważ cię kocham — wyznała.

Milczał marszcząc brwi i przyglądając się dziewczynie. Ona zbladła nagle z obawy, że powiedziała coś niewłaściwego, tę jedną, jedyną rzecz, której nie chciał usłyszeć z jej ust. „Miłość — myślała w popłochu — bywa inna: pożądanie, pasja... Miłość to nie znaczy małżeństwo, bo małżeństwo z miłością czy bez, to wspólna odpowiedzialność, wzajemne zobowiązania, dom i dzieci...”

Drgnęła nerwowo, gdy Ramon zapytał dziwnym, słabym głosem:

— Czy wiesz, co powiedziałaś?

— Oczywiście, że wiem! — potwierdziła bliska płaczu.

— To znaczyłoby małżeństwo — rzekł — prawdziwe, katolickie małżeństwo, bez rozwodu, trudności finansowe, dzieci. Założenie rodziny tutaj oznacza życie bez żadnych nowoczesnych udogodnień, bez rozrywek. A kiedy przyjdą na świat dzieci — to będzie koniec twojej kariery! Gdybyś wyszła za mąż za kogoś w Anglii, miałabyś nianię, służbę i mogłabyś pracować dalej, a tu naprawdę nie dasz rady. — Przerwał, by ucałować jej dłonie. — Popatrz na mnie. Czy rozumiesz, co powiedziałem? Szanse są tylko takie, że kiedy minie miodowy miesiąc, będziesz żałować wszystkiego, co straciłaś. Zaczyniesz mnie winić za pozbawienie cię wszelkich wygod i racja będzie po twojej stronie. Czy sądzisz, że tego chcesz? Czy nie widzisz, że to jest powodem, dla którego usiłowałem zawrócić cię z tej drogi?

Pochyliła głowę. Jak miała mu odpowiedzieć? Mimo wszystko miał dużo racji. Prawdą było, że nie mógłby osiąść w Bayswater. Dla niej bardzo wiele kariera znaczyła, ale wszystko, czego potrzebowała, ograniczało się do papieru i ołówka. Podniosła oczy i zauważyła na twarzy czułość.

— Czemu powiedziałeś mi to wszystko? — spytała. — Czy usiłujesz mnie odsunąć? Zawsze to robiłeś, od pierwszego dnia, kiedy się spotkaliśmy.

— Ponieważ kocham cię! — powiedział smutno. — Myślałem, że pokochałem cię, kiedy zobaczyłem cię pierwszy raz, tak piękną, pełną życia! Jesteś zbyt utalentowana, żeby rzucić to wszystko i zagrzebać się tu przy mnie, wśród kur! Vincente pokazał mi fragmenty swej biografii. Jesteś bardzo zdolna i ambitna. Czy pamiętasz, jak wyjeżdżałaś, a ja wpadłem na lotnisko?

Byłem bliski szaleństwa, chciałem błagać, żebyś nie odjeżdżała! Ale wyglądałaś tak elegancko, tak pięknie... Nie miałem prawa prosić cię o nic...

— Z powodu sukienki? I odrobiny kosmetyków? Nigdy nie słuchałeś, kiedy mówiłam, jak bardzo mi się tu podoba! Pozwól mi spróbować! Czemu nie miałabym tu pracować i pisać? Tu jest spokój i cisza, bez telefonu dzwoniącego bez przerwy przez cały dzień. Kocham Park i wszystko, co się z nim wiąże, leży mi na sercu. Park i Mato Grosso. Chcę walczyć o to, o co ty walczysz. Po to napisałam pierwszą książkę o Vincente. Nie masz pojęcia, jak często po powrocie do Londynu długo w nocy nie spałam, wsłuchując się w hałas ulicy i wdychając spalinę. Tam nie ma świeżego powietrza... ani słonecznych jezior, spokojnych rzek i stadka białych ibisów... Nie rozumiesz? Nie wierzysz mi? — zapytała błagalnie.

— Myślę, że cię rozumiem. Ależ byłem głupi! — Uśmiechnął się radośnie, oczy jaśniały mu blaskiem. — Mówiłaś o tym dużo wcześniej, ale nie słuchałem uważnie... Żyłem ciągle wspomnieniami złej przeszłości.

„Przeszłość nie ma już znaczenia” — pomyślała Diana.

— Teraz, kiedy uprzedziłem o czekających cię trudach, czy nadal chcesz żyć tutaj jako moja żona i matka moich dzieci? Zastanów się dobrze...

— Tak — odpowiedziała i ucałowali się uroczyście.

Diana wiedziała o wielu rzeczach: o nędznym, zaniedbanym pokoju, o szumie „wentylatora”, o problemach, z którymi zmierzą się już razem, ale przede wszystkim pewna była ich wzajemnego uczucia.

Wierzyła, że lepiej podjąć ryzyko, niż spędzić resztę życia, żałując jedynej szansy — szansy na wejście do raju.